



ROK LVIII

NR 43

MISG  
TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DZIAŁA  
Kobiet

WARSZAWA, 24 PAŹDZIERNIKA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: Wzgardzone cnoty—*M. B. Ł.* Kropla w morzu—*H. C.* Z cyklu sylwetek: Marja Dunin Sulgustowska—*C. Walewska.* Świat kobiecy (c. d.)—*Marja Grossek-Korycka.* Kartka z dziejów katolicyzmu w Rosji w pierwszej połowie XIX wieku (c. d.)—*R. M. Blüth.* Z powodu dolarów (dokończenie)—*Joseph Conrad (Józef Korzeniowski),* tłumaczyła *Teresa Tatariewiczowa.* Zatrzymany zegar (powieść) dokończenie—*Wanda Miłaszewska.* Piękna Pamela c. d.—*Karolina Bielańska.* Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Nic ważnego—*Marja Kuncewiczowa.* Wychowanie fizyczne i sport—*I. F.* Z ruchu wydawniczego. Dział praktyczny: Mody i roboty. Bukiet z muszli. List z Paryża—*Sekwa.* Jak podróżowano za czasów napoleońskich—*Spero.* Buduar—*Emilja Szenwicowa.* Z dziedziny kosmetyki—*Dr. J. Świńska.* Różne sposoby prania (c. d.)—*I. S.* Przechowywanie jarzyn w piwnicy—*Pani Elżbieta.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta.* Dobre Rady. Korespondencje działu praktycznego. Dodatek powieściowy „Naja Tripudians” (c. d.) *Annie Vivanti* (przeł. z włoskiego *Tadeusz Jakubowicz*). „Nasze sprawy”. TABLICA KROJÓW.

## WZGARDZONE CNOTY

„A zbytek, co się tylko czczym pozorem chlubi,  
„Okrasza nas powierzchownie, a w istocie gubi.”  
*Krasicki — „Satyry”.*

Lubią Polacy nazywać siebie Francuzami północy. Trudno dociec, skąd się wzięła ta analogja, natomiast pewną jest rzeczą, że wymyślił ją ktoś, kto nie zna albo Polaków, albo Francuzów, albo wreszcie, co najpewniejsze, ani jednych ani drugich. Trzy rzeczy charakterystyczne dla każdego Francuza są to: wesołość, trzeźwość i oszczędność. Zwłaszcza oszczędność.

Przy nadzwyczajnie żywym temperamentem Francuz umie doskonale liczyć. Robotnik, urzędnik czy lekarz, jeden ma ideał na przyszłość i wytrwale do niego dąży: ideałem tym jest zabezpieczenie sobie starości. W młodości i wieku dojrzałym pracuje się z całym wysiłkiem i składa santim do santima, frank do franka. Czyni tak zarówno paryżanin jak mieszkaniec głębokiej prowincji, ale przedewszystkiem paryżanin. Przyjrząwszy się uważniej hałaśliwemu i zbyt kownemu życiu Paryża, spostrzega się odrazu, że jest to tylko piana, pod którą ukrywa się treść o wiele głębsza. Pianę tę tworzą cudzoziemcy — ludzie czy to bogaci, czy lekkomyślni—których dostatek, lub brak zastanowienia jest dla rdzennych paryżan źródłem dochodów. Prawdziwy Paryż — nie wielkie bulwary etranżerów, lecz rdzenni mieszkańcy, począwszy od dzieci w wieku szkolnym, rozpo-

czynają codzienną pracę poza domem przeważnie o 8-ej, co przy wielkich odległościach tego olbrzymiego miasta wymaga bardzo wczesnego wstawania. Zajęcia w klinikach i w wyższych uczelniach rozpoczynają się jeszcze wcześniej. Śniadanie w południowej porze, przy którym zbiera się normalnie cała rodzina, przecina dzień roboczy systematycznie na połowę. Drugi zasadniczy posiłek po skończonej pracy wypada już o takiej porze, że pozostaje niewiele czasu na to wszystko, co u nas pochłania go tak dużo: na kawiarnie, odwiedzanie się, spacery po ulicach i t. p. Spać trzeba chodzić wczesnie, skoro wstaje się również wczesnie. W niedzielę spacer za miasto, ulubione łowienie ryb na wędkę, jakaś niekosztowna rozrywka w mieście. Żadnych prawie przyjęć, życie towarzyskie ograniczone do stosunków oficjalnych, których wymaga stanowisko: „jour’y” eleganckich pań mogą być bardzo liczne, a kosztują bardzo mało, gdyż gości przyjmuje się herbatą i drobnymi ciasteczkami. Gdy stosunki tego wymagają, wydaje się obiad na kilka lub kilkanaście osób. Na bal prywatny pozwalają sobie wyjątki. Zresztą muzyka i tańce przez całą noc to zakłócenie spokoju sąsiadom, którzy nie mogą pozbawiać się snu, mając pracowity dzień za sobą i przed sobą.

W tem cichem i jednostajnym życiu odkłada się oszczędności z myślą o własnym domku i małej rencie w przyszłości. Nie darmo nazywają Francję



krajem rentjerów. Wytrwale i z trudem ciułane grosze czy setki płyną do kas oszczędności, do banków i towarzystw akcyjnych, rodzą odsetki, rosną, powiększają majątki osobiste i narodowy. Oszczędza concierge (stróż domu) i lokator z pierwszego piętra, a już cudów oszczędności dokazują kobiety, które pracują w domu i poza domem, obywają się bez służących, względnie bez posługaczek, przy wrodzonej Francuzkom zręczności same są własnymi krawcowymi i modniarkami, same bez pomocy nianiek i bon wychowują dzieci, a w gospodarstwie domowym umieją wyzyskać każdą odrobinę, wywołując tem podziw obserwujących je cudzoziemek.

Gdzie tu porównanie z Polką i Polakami?

Nasze marnotrawstwo czasu i pieniędzy usiłuje sobie znaleźć usprawiedliwienie w takim rozumowaniu ekonomicznem: gdyby się nie wydawało na wieczorki, cukiernie i kina, na sukienki i perfumy, na służbę i samochody, nie zarobiłaby służąca i krawcowa, nie miałby zarobku właściciel cukierni ani kelner, zbankrutowałiby przedsiębiorcy dorożek samochodowych, szewcy, właściciele kinematografów i t. d. i t. d. W społeczeństwie naszym taką naiwną filozofję posiada tłum wyznawców. Nie przeniknęła do szerokich warstw prosta prawda ekonomiczna o różnicy między wydatkami produkcyjnymi i nieprodukcyjnymi. Pięćdziesiąt złotych, które wydaję na obuwiu, dajmy na to istotnie mi konieczne, przepadają dla mnie bezpowrotnie, zniszczają wraz z podarciem się nabytych za nie pantofelków. Być może, że szewc, który je otrzymał, włożył je w dalszą produkcję i osiągnie przy ich pomocy dalszy zysk; albo być może wyda je na libację niedzielną. W każdym razie ja sama utraciłam je bezpowrotnie i bez żadnego odszkodowania za rozstanie się z nimi. Powtarzam, wydatki ten mógł być konieczny, ale nie przedstawia dla mnie żadnego zysku, jest wydatkiem „konsumpcyjnym” — spożyłam swoje pięćdziesiąt złotych. Jeżeli je złożę w jakiejkolwiek instytucji lub przedsiębiorstwie, które mi zapewnia choćby minimalny zysk, stworzyłam sobie pewne źródło dochodów, a zarazem powiększyłam kapitał produkcyjny kraju.

Niema tak drobnej sumy oszczędności, któraby nie miała znaczenia zarówno ze stanowiska osobistego jak ogólnokrajowego. Proszę obliczyć, jakie sumy posiadłby po roku kraj na cele produkcji, gdyby każdy z jego 30 milionów mieszkańców odłożył codziennie po 10 groszy. Oczywiście taki schemat oszczędzania jest nie do pomyślenia, ale ilustruje

znaczenie drobnych oszczędności w życiu całego społeczeństwa. Dla jednostki zaś odkładanie choćby bardzo skromnych kwot wdraża ją do pewnego ładu i planowości w wydatkach, a po pewnym czasie przecież stwarza jakąś rezerwę na cel zamierzony lub nieprzewidziany.

Nie chcemy na tem miejscu twierdzić, że drobne oszczędności mogą stwarzać wielkie majątki. Fortuny miliardarów amerykańskich, które oni sami lubią przedstawiać jako pochodzące z wrodzonej ich właścicielom cnoty poprzestawania na małym, zrodziły się z owych pierwotnych kilkunastu odłożonych dolarów jedynie dzięki temu, że mniej lub więcej uczciwemu ulokowaniu ich towarzyszył szczęśliwy „amerykański” zbieg okoliczności. W stosunkach Starego Świata te pomyślne okoliczności kwalifikowane są aż nazbyt często pod rozmaitemi terminami jako paskarstwo. W społeczeństwach europejskich niema naogół warunków do wyrastania olbrzymich majątków niby grzybów po deszczu. Dlatego też nie posiadają u nas realnego znaczenia przykłady Carnegich i Fordów. Natomiast zupełnie bliski jest nam typ zachodnio europejskiego „małego rentjera” — bliski, niestety, bardziej przestrzenią i warunkami istnienia niżli duchowo.

Typ ten — przynajmy — nie cieszy się wśród nas sympatją. Nie umiemy cenić cichych cnót cichego życia mieszczańskiego, dla którego ostatecznym ideałem jest po pracowitych latach starość beztroska w małym domku, tonącym w zieleni i kwiatkach, gdzieś w głuchym zakątku odległej prowincji. Jest w tem potrosze tradycja szlachecka rozmachu, życia bez myśli o jutrze, które zawsze było zabezpieczone — cudzą pracą. Nic dziwnego zresztą, że tradycja ta przesiąknęła do wszystkich warstw, nawet, zdawałoby się, najdalej od szlachetczyzny, gdyż cała ideologia polska do wczoraj jeszcze kształtowała się pod wpływem kultury warstwy szlacheckiej. Ale prócz tych tradycji rodzinnych do naszej pogardy dla „ciułania” i skromnych ideałów życia przyczyniły się niewątpliwie wpływy i przykłady Wschodu. „Szeroka rosyjska natura” z całym zewnętrzny urokiem jej beztroskiego bytowania, z potwornem dla Zachodu lekceważeniem własnej przyszłości wycisnęła swe piętno na polskiej duchowości.

To wszystko jednak stanowi przeszłość. Idziemy w przyszłość pod znakiem demokracji — ludowładztwa. A władza mas może prowadzić nawet państwową tylko w warunkach zrównoważenia duchowego i materialnego.

M. B. Ł.





# KROPLA W MORZU



rawdziwie kroplą w morzu potrzeb społecznych w tym zakresie nazwać można to, co czyni Koło Pracy Kobiet, a właściwie specjalna jego sekcja, celem uchronienia od zagłady pewnego procentu dzieci polskich. Chodzi mianowicie o te dzieci, urodzone w nędzy i upośledzeniu prawnym, którym z góry pisana jest zła dola i najczęściej — śmierć przedwczesna.

Rozumiejąc, że najcięższą chwilą dla matki — służącej, matki — wyrobnicy, matki — nędzarki, wreszcie dla każdej matki, czy to osieroczonej, czy opuszczonej przez męża lub kochanka, jest okres po przyjściu na świat dziecka, sekcja Koła Pracy Kobiet, nazwana „Ratujmy dzieci“, postanowiła zaopiekować się matkami w tym właśnie okresie ich macierzyństwa.

Myśl — zupełnie słuszna; uchwycenie momentu psychologicznego całkiem trafne. Organizm kobiety wyczerpany porodem, a najczęściej także wstrząśniętymi natury moralnej nie jest jeszcze w tym momencie zdalny do intensywnej pracy, a spadają nań właśnie nowe obowiązki i przed kobietą — matką staje widmo bezrobocia. Z „dzieckiem“, nie chce jej nikt przyjąć do służby, ani wogóle do roboty.

Wtedy, by nie upadła na duchu, by nie uległa rozpacz i pokusie pozbycia się dziecka tym czy innym sposobem, bierze ją w opiekę swoją wspomniana sekcja.

Myśl świetna, humanitarna, o wielkiem społecznym znaczeniu!

Alé wykonanie?..

Boże mój! Tak, jak to w Polsce, gdzie wszystko, co nazywa się opieką społeczną, stawia dopiero pierwsze kroki, gdzie po okresie obcego panowania, które wszelką akcję dla społeczeństwa polskiego pożyteczną tłumilo — jest po prostu tabula rasa...

Bo proszę wyobrazić sobie, gdzieś na jednym z tych typowo szarych i opuszczonych przedmieść stolicy, na Grochowie II-gim mieści się w wynajętym drewniaku schronisko wspomnianej sekcji.

Trzy sypialnie, jadalnia, kuchnia, pokój zarządzającej, łazienka i spiżarnia — oto wszystko! Przed domem malutki ogródek.

Ubogie to nad wyraz, ale względnie czyste.

W sypialniach mieszczą się łóżka matek i kolebki dzieci.

Dzieci, powiedzmy otwarcie, mają wygląd nędzny i smutny. Daleko im do prawidłowego rozwoju i wzrostu dzieci, chowanych w dostatku i wygodach, dzieci karmionych przez matki, którym nie brak niczego.

Wystarczy zwiedzić spiżarnię tego zakładu, by zrozumieć przyczynę mizernego wyglądu dzieci. Trochę krup, trochę mąki — to wszystek zapas. A prawda! są jeszcze w piwnicy kartofle, zebrane przez Zakład z wydzierzawionej działki.

Zapytuję informującą mnie kierowniczkę, czy miejscowa ludność, obywatele okoliczni interesują się schroniskiem, czy świadczą jaką pomoc w naturze?

— Nikt! Jedna tylko garbarnia miejscowa używa furmanki w razie potrzeby.

— A czy panie z miasta nadsyłają sekcji starą podartą bieliznę, nieużyteczne już ubranka swoich dzieci?..

— O nie. Nie możemy się doprosić. Trzeba wszystko kupować, bardzo często całą wyprawkę, gdy matka, dziecko — w łachmanach.

— Skąd rekrutują się klientki schroniska?

— Przeważnie z miejskich zakładów położniczych, z klinik; czasem przysyła policja zebrane na ulicy nędzarki.

— Jakie sfery korzystają z pomocy Zakładu?

— Przeważnie — służące. Trafiają się jednak i inteligentki: biuralistki, telefonistki, ekspedjentki, nawet nauczycielki.

— Przewaga nieślubnych?

— Tak. Ślubnych — mamy 20%.

W dalszym ciągu dowiaduję się, że zasadniczo Schronisko przetrzymuje swoje klientki 2 tygodnie, podczas których wypoczywają one po porodzie i starają się o pracę. Termin powyższy przedłuża się

jednak bardzo często, ze względu na trudność w wyszukaniu pracy. Najłatwiej względnie — dostać posadę służącej, ale na jakich warunkach? Za pół normalnej ceny, czasem tylko za utrzymanie, bez pensji.

W takich razach sekcja udziela nieszczęsnej matce zapomogi w sumie 5-ciu, 10 zł. miesięcznie.

O inne prace — bardzo trudno. To też pewna inteligentka, biuralistka po paru tygodniach pobytu w Grochowie, pragnąc zapracować na siebie i dziecko, zdecydowała się wziąć miejsce służącej.

Mieszkancki „Schroniska“ same pełnią wszystkie posługi w Zakładzie: sprzątają, gotują, piorą. Silniejsze pomagają słabszym w pielęgnowaniu niemowląt.

Pożywienie otrzymują 4 razy dziennie, ilościowo — dosyć obfite, jakościowo — mało wartościowe. Inaczej być nie może, wobec braku zainteresowania ze strony społeczeństwa, wobec trudności finansowych, z jakimi boryka się sekcja.

Wprawdzie Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej przyobiecowało płacić na utrzymanie Schroniska 1000 zł. miesięcznie, ale podobno nie zawsze dotrzymuje obietnicy. A dochody sekcji? Cóż za dochody może mieć organizacja, licząca niespełna dziesiątek członkiń.

Pokój na biuro, używany przez Koło Pracy kobiet, dwie biuralistki i ten wynajęty drewniak na Pradze — oto cały aparat tak niesłychanie ważnej i doniosłej akcji, gdyby prowadzoną była na skalę i w sposób, odpowiadający potrzebom społeczeństwa...

I to jednak, co widzimy w Grochowie jest już postępem. Z początku bowiem sekcja, nie mająca dachu nad głową, wynajmowała dla klientek swoich „kąty“ w mieszkaniach robotniczych. Dziś ma, bądź co bądź, lokal własny.

I mimo trudnych warunków od początku 1925 r. przeszło przez biuro jej 349 matek. Z tych znalazło chwilowy przytułek w Grochowie 127, w tem 6 miało bliźnięta.

W roku bieżącym dano pracę 158 ubogim matkom. Z dawniejszych klientek, już poprzednio umieszczonych 60 korzystało jeszcze z opieki i zapomóg.

Obecnie zastałam w Schronisku grochowskim tylko 5 matek i sześćcioro dzieci (jedną obdarzył los bliźniętami). Jest to podobno wyjątkowo mała liczba. Zazwyczaj





kilkanaście kobiet korzysta z przytułku.

Przewodniczącą Sekcji jest pani doktorowa Czarnecka. Bezpłatnej pomocy lekarskiej udziela dr. Stypułkowska, która stale raz na tydzień wizytuje Schronisko, a poza tem, w razie potrzeby, służy zawsze swoją poradą i opieką.

Jak przystało, na istoty, których życie nikomu bardzo pożądanem nie jest, śmiertelność wśród dzieci w Schronisku jest mała. Umiera podobno około dziesięciorga rocznie.

Jest rzeczą niesłychanie smutną, że tak mało kobiet interesuje się tak bardzo doniosłą sprawą, że tak mało współdziała.



Jeżeli podkreślaliśmy tu dosyć jaskrawe niedostatki całej akcji, to nie w zamiarze krytykowania tych, którzy tę znakomitą inicjatywę podjęli, i prowadzą dzieło swoje przy głuchej obojętności ogółu, lecz by zwrócić uwagę szerokich kół kobiecych na nierównomierność ogromu potrzeb społecznych w tym zakresie z tą pierwszą próbą zaspokojenia ich.

A jednak sprawa, o którą tu chodzi, jest jedną z najbardziej „kobięcych” i kobiece serca najsilniej poruszaćby powinna. H. C.

Z CYKLU SYLWETEK

## MARJA DUNIN SULGUSTOWSKA

*Pionierka słoju w Polsce*

Na wiele lat przed wojną wyszła książka, której motto brzmiało:

„O ileż lepiej zapobiegać złemu, ratować dzieci, zanim zejda na drogę występku, niż potem umieszczać je w zakładach poprawczych i karnych...”

Było to streszczenie pracy pani Hierty Retrius, przyswojone Polsce z całym zamiłowaniem, z sercem gorącym i wiarą w doniosłość założeń szwedzkiej autorki \*).

Streszczenia dokonała i godłem zaopatrzyła Marja Dunin Sulgustowska, która—pierwsza u nas—zwróciła uwagę na doniosłość robót ręcznych w wychowywaniu dzieci, młodzieży, a nawet—starszych.

Jak tworzą się armje przestępców?

Z gromad siedmio, ośmioletnich włóczęgów, pozbawionych opieki i dozoru, narażonych na pokusy ulicy i nieraz na najgorszy przykład w domu. Jak często rodzice sami namawiają dzieci swoje do żebrania pod groźbą, że zostaną obite, jeżeli pod wieczór nic nie przyniosą!

Więzienia — zamiast zmniejszać, zwiększają liczbę nieletnich winowajców, czas odsiadywanej kary bowiem — zwykle zbyt krótki — nie pozwala podjąć systematycznej pracy nad poprawą ich. Skazany, opuszczając mury więzienne, tuła się bez pracy. Nie może jej dostać, bo nikt mu nie wierzy i nie ufa. Prawie niema wypadku, aby na nowo nie był uwięziony.

Aby uchronić społeczeństwo od przestępców, których do grzechu pcha nie zwyrodnienie, lecz tylko pokusa uliczna, postanowili peda-

godzy szwedzcy otworzyć jak największą ilość zakładów, chroniących dzieci proletariackie od włóczęgi. Dla najmłodszych powstały żłobki. Dla malców od 4—7 lat urządzono sale i ogródki dziecięce. Dla chłopców i dziewczynek od 7 — 14 lat stworzono t. zw. „pracownie”, chroniące ich — w godzinach pozaszkolnych od wałęsania się po zakamarkach i norach miejskich.

Pierwszy tego rodzaju zakład powstał w Danji. Następne — w Finlandji i Norwegii, skąd wzór ich przeszedł do Szwecji, gdzie mnożą się z każdym rokiem. W 1924 roku było ich już 89 — z tego w samym Sztokholmie 23. Popierają je gminy, samorządy miejskie i całe społeczeństwo.

W widnych, znakomicie przewietrzanych, czystych i dużych salach uczą się dzieci przede wszystkim tego, co najniezbędniejsze w życiu domowym... A więc sprzątnięcie (same czyszczą pracownię), szycia, reperacji, łątania, cerowania. Chłopcy na równi z dziewczynkami.

Gdy pierwszy raz kazano małym mężczyznom przynieść pończochy do naprawy, — żaden nie usłużył, bo to ubliżające. Po pewnym czasie przywykli do tej pracy i dziś sami dopominają się o nią.

Podobne dzieje przechodziła i nauka łątania. Najpierw bunt. Ale kiedy pierwszy łobuz pod nadzorem nauczycielki sam jaknajdokładniej naprawił ubranie, poszła za nim

w te pędy reszta! Dziś — niema już dziurawych kurtek w szkole. Małe Antki zadzierają głowy dumnie, że nie potrzebują oglądać się na pomoc starszych.

Dzieci przechodzą kurs krawiectwa, szewstwa, kucharstwa w sposób, który stanowi dla nich upragnioną rozrywkę, tak, że chciałyby przychodzić nawet w święta. Zamiast męki, odczuwają „radość pracy”.

Roboty ręczne — wiórkowe, pilkowanie, z łyka, słomy, sitowia, rafji, tkactwo — rozwijają w nich poczucie piękna i przyuczają do porządku, wymagając czystych rąk i schludnego otoczenia. Ze szkoły dziecko wnosi nawyki i upodobania swoje do domu, wciągając starszych w orbitę ich.

Za Hiertą Retzius opowiada pani Dunin o pijaku, który pozbył się nałogu, upodobawszy sobie prace stolarskie, wtajemniczony w nie przez syna, uczęszczającego stale do pracowni.

W myśl założeń pedagogów skandynawskich M. D. Sulgustowska — po powrocie ze Szwecji sama otworzyła szkołę — pracownię z prawem wydawania świadectw i prowadziła ją przez lat piętnaście, przekonawszy się osobiście o niezwykle dodatnim wpływie robót ręcznych.

Chłopiec tak porywczy, że nie mógł uczyć się razem z innymi dziećmi na t. zw. kompletach, w czasie lekcji słoju zachowywał się bez zarzutu — cichy, zgodny, zajęty swoją piłką lub pleciami. Ustawiały bójki, kłótnie najmniej kulturalnych łobuziaków, no, i wzajemne oskarżanie się, t. zw. dono-

\* Pracownie dla dzieci. Wydawnictwo Kasy Naukowej im. Mianowskiego. Skład gł. w księgarni Wendego.



sicielstwo. Jeżeli które z dzieci coś zepsuło, samo zawiadomiło mistrzynię o tem. Nikt nie ośmielił się „lizusować”. Uczniowie kontrolowali się wzajemnie i zwracali uwagę na najlepiej—nawet przez mniej zdolnych kolegów odrobione prace.

Atmosfera szkoły i zajęcia słojdowe przeistaczały małych włóczągów—Antków z Powiśla—w ciągu kilku tygodni do niepoznania.

Dziesięć lat z górą minęło od tego czasu. Dziesięć lat... chwila. A jakby już wieki..

Dawne życie wypęła z odmetów huraganu i dziwi się samo sobie, że jest, że nie pochłoneła go płąsawica wielkiej wojny, że może trwać jak trwało.

Jedni zaczynają je odnowa. Inni—skończyli się, chociaż chodzą, śpią, jedzą i niby myślą, niby pracują. Niektórzy wracają do dawnych warsztatów. Właściwie, nie porzucali ich nigdy, bo w burzę i zawieruchę robili to, do czego jedynie czuli się powołani. W burzę, w zawieruchę—tonąc i znowu wypływając—trzymali się warsztatów swoich.

Do tych upartych, do tych wola i zapamiętaniem hardych należała Marja Dunin Sulgustowska, kapłanka własnej idei.

Wojna zaskoczyła ją w Mohylowszczyźnie, zabrawszy—prawie odrazu—najbliższych, najdroższych.

O tem nie mówi się. Rany zbyt krwawą.

Pracowała później w Mińsku jako nauczycielka prywatna.

W 1918 r. weszli bolszewicy i zrobili ją instruktorką pracy ręcznej w szkołach. Chodziła w kozuchu. Uczyla. Pracowała po jedenaście godzin na dobę.

W 1919 r.—po wejściu polaków—została instruktorką robót przy Polskiej Radzie Szkolnej ziemi Mińskiej. Uczyla w Seminarjum dla nauczycielek i nauczycieli. Ale w 1920 r. gdy spadła znowu bolszewicka nawała, ewakuowano ją do Grudziądza. Wszystkie rysunki, wzory spalono. Rzeczy zabrano.

Wkrótce potem znalazła się w Warszawie osierocona, bezdomna, lecz nie złamana na duchu.

„Żeby tylko zdobyć swój kąt własny—kilka metrów wzdłuż i w szerz zaraz wróciłabym do swoich warsztatów.“

Tego jedynie pragnęła.

No, i znalazł się ten kąt własny u zacnych, dobrych przyjaciół.

Z dawnym zapamiętaniem, z dawnym hartem i twardym chceniem wróciła do pracy.

Jak gdyby straszne nieszczęścia nie zaryły się wieczną żałobą w jej duszy..

Tylko bruzdy na czole, tylko zmatowany połysk oczów—niegdyś płomienistych, wielkich—tylko skurczenie, zdrobnienie całej wysmukłej postaci mówi o burzy, która przeszła i zdruzgotała serce kochające.

Uporządkowała papiery swoje i wzory robót (większość ich zginęła w Bolszewji). Wróciła do warsztatów, które tu w Warszawie ocalały szczęśliwie, do rysunków, do pracy pedagogicznej i do pisanania.

Marja Dunin-Sulgustowska pierwsza u nas zbadała slöjd u kolebki jego powstania—w państwach Skandynawskich. Przebywszy dłuższy czas w Szwecji i poznawszy dokładnie wszystkie te urządzenia, które szczególniejszy nacisk kładą na roboty ręczne, nieomieszkała podać czytającemu naszemu ogółowi spostrzeżeń swoich, wiadomości, doświadczeń zdobytych.

Na kilka lat przed wojną drukowała szereg artykułów w „Słowie”: „O dobroczynności prywatnej w Szwecji”, „Szkolnictwo dla upośledzonych w Szwecji i w Danji” itp. Na kongres pedologiczny w Brukselli przygotowała referat „O wpływie moralnym slöjdu“.

Ostatnimi czasy rzuciła w świat nowe wydanie—poprawione i rozszerzone—dawnej swojej broszury „Slöjd”.—Wskazówki metodyczne, polecone przez Min-wo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego\*\*).

Książka ta winna znaleźć się w rękach tych wszystkich, co interesują się slöjdem, chcą go uprawiać, lub, niewiele wiedząc o nim, pragną zrozumieć istotę jego i doniosłość wychowawczą.

W jednym z bieżących kwartalników „Szkoły specjalnej” pomieściła niezmiernie ciekawy artykuł: „Pracownie dla dzieci jako czynnik profilaktyczny w walce z przestępczością.“

\*\* ) 1924. Skład główny Dom książki polskiej Sp. Akc. Warszawa, Plac Trzech Krzyży 8.



Podaje w nim projekt organizacji takich wzorowych pracowni. Dzieci, przychodząc na parę godzin, dostawałyby posiłek, jako wynagrodzenie za roboty swoje—slöjdowe. Przedmioty wykonywane są własnością pracowni, która dostarcza materiałów i narzędzi roboczych. Pomieszczenie winno być skromne, żeby nie odbiegało od typu mieszkań ludności niezamożnej, ale musi panować w nim wzorowa czystość, ład, higiena. Do niezbędnych wymagań należy również dobre światło, dostateczne ogrzewanie zimą i miłe, harmonijne urządzenie—kwiaty, obrazy, wycinanki na ścianach. Koniecznym warunkiem również jest nie gromadzenie zbyt wielkiej ilości dzieci odrazu.

Z wielką energią podjęła M. D. Sulgustowska opracowanie podręcznika „Wzory do robót plikowych”, których wyszła już część I i II, poleczone przez Min. W. R. i O. P. Obmyśliła również dla szkół typ warsztatu tkackiego przenośnego i typ takiegoż warsztatu dla dzieci z przedszkola.

Dom wychowawczy przy szpitalu Dz. Jezus otrzymał od niej serje wzorów koszykarskich metodycznie ułożonych. Na ządanie Min-wa W. R. i O. P. przetłumaczyła statut seminarjów dla szkół ludowych w Szwecji.

To są prace dokonane w ciągu tych paru lat powojennych, kiedy, po długiej tułaczce, znalazła wreszcie dach nad głową i stół własny i możność skupienia się w sobie.

Ostatnim jej pomysłem, którym dzieli się chętnie ze wszystkimi zainteresowanymi i z którego jest dumna, bo nie podsunęły go żadne obce wzory, są kilimy z ratji, bardzo estetyczne, trwałe, no, i naturalnie znacznie tańsze od wełnianych.

Marja Dunin Sulgustowska należy do typu tych twardych, zahartowanych w pracy i niezłomnym dążeniu do raz wytkniętej mety działaczek, które przetrwały okres niewoli w ciężkim trudzie dla przyszłego wyzwolenia ojczyzny, a stęrawszy siły na wygnaniu—jak żołnierz-służbista—nie chcą zejść z posterunku, dając z siebie, aż do tchu ostatniego, co jeszcze dać mogą.

Nie ucziło społeczeństwo dotychczas tej przodownicy w dziedzinie wychowawstwa. Nie wyznaczyło stanowiska, jakie zajmować powinna. Parę lat po powrocie z Rosji żyła tylko z dorywczych, miernie płatnych, prywatnych lekcyjek, bo miejsce kierowniczkę ro-



bót slöjdowych w szkole tramwajowej, które zajmowała od początku jej istnienia, aż do chwili odcięcia, — oddano już komu innemu.

Ale czyste jej serce dalekie było od rozgoryczenia. Nikt nigdy nie słyszał skargi z jej ust, ani żalu do tych sterników nawy publicznej, tych organizatorów nawy oświatowo-społecznej, którzy nie chcieli, czy nie umieli skorzystać z jej długoletnich doświadczeń i — wysunąwszy młode siły — ze spokojem patrzyli na bezrobocze tułactwo tej zasłużonej i tak bardzo zękałej weteranki.

Nie gięła się w staraniach samej za sobą. Znalazłszy przy ludziach serdecznych upragniony „kąć własny“, podjęła swoją pracę i czekała.



Czy czeka dotąd? — Nie wiem. Widujemy się rzadko. O sobie nie mówi nigdy, nie chce mówić — zamknięta w sobie, skupiona.

Jedno pragnienie jeszcze rozplamienia jej oczy — pojechać do Szwecji, zobaczyć, jak tam teraz?

Bije z niego poryw młodości — echo pierwszych przeżyć, pierwszych poczynań, pierwszej żywiołowej pobudki na drodze do tego głównego i jedyne go celu, jakim była i jest dla niej zawsze troska o wzorowe wychowanie najmłodszych naszych pokoleń. C. Walewska

MARJA GROSSEK-KORYCKA

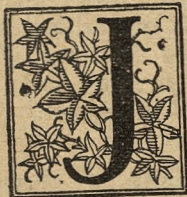
F E L J E T O N

## ŚWIAT KOBIECY

CZEŚĆ II.

21

### NOTATKI PSYCHOLOGICZNE



Jedna panna była obca, druga domowa. Wypadało mu raczej oddawać honory domowej, więc też to uczynił, pełen zresztą najdoskonalszej obojętności ku jednej i ku drugiej. Młodzianki arystokratki powabne i kolosalnie bogate patrzyły na biednego malarzyka, który nie był już zupełnie młodym, a urodziwym nie był nigdy, tem samem okiem, co na starego kapelana, zażywającego tabakę.

Jednakże ubodło to pannę Elizę.. dla czego asystują Idalce, a nie jej?...

— Ach, mój Boże! rzekła do malarza, gdy byli sam na sam przy bilardzie — jak mi żal!... tej mojej biednej Idalki!...

— ???!!!

— Ta kochana, słodka dziewczyna!!!... niestety!... (mówiła z anielskim smutkiem na anielskiej twarzy) ona ma od dzieciństwa taki wstrętny liszaj na piersiach... podobno zaraziła się od mamki...

— Oooo!...

— Panno Idaljo! panno Idaljo — wołał do wchodzącej — jaką pani ma serdeczną, prawdziwą przyjaciółkę w pannie Elizie.

— ???!!!

— Panna Eliza tak boleje nad panią!!!...

— Nademną???... cóż to za szopka? — wybuchnęła śmiechem dziewczyna bujna i wesoła,

— Pannę Elizę tak martwi ten okropny liszaj u pani na piersiach, którym panią zaraziła mamka...

— Och! (mdleje panna Eliza).

— Och! (pełne wstrętu i pogardy).

Ileż to razy rączka kobieca podstawiła nam takiego stołka, o którym nic nawet nie dowiemy się nigdy!... Bo któż ma tyle szlachetnej odwagi, co ten malarzyk, aby zdemaskować oszczercę?!...

(Coś podobnego zdarzyło się teraz w wysokich sferach wiedeńskich... Zdemaskowano oszczercę: jednej pani powtórzono to, co mówiła o niej druga pani..)

Ach, to się powinno robić zawsze! — to powinno być uznane za obowiązek moralny — dziś kiedy dzięki karygodnej dyskrecji intryga wodzi rej.

Tak bardzo podnoszona przez psychologów z końca XIX stulecia niena wiść płci ona jest! — ale tylko u mężczyzn. U kobiety występuje bardzo rzadko i wyłącznie w późnym staropanieństwie.

W mężczyźnie kocha kobieta tylko jego instynkt.

— Tam gdzie ten instynkt jest zneutralizowany jego starością, lub jej starością i brzydota, mężczyzna nie lubi kobiety. W momentach, następujących po nasyceniu żądzy, odrzę budzi w nim najgwałtowniej przed chwilą pieszczona kochanka. Jest to fakt notowany przez psychologię [odwicz-

na. Nic rzadszego, jak przyjaźń mężczyzny do kobiety nie poparta rociągami płci. Kobieta szpetna, a szczególnie stara, jest przedmiotem bardzo silnej jego antypatii. Gwoli tej niechęci kobieta stara, o ile wysoki ród jej nie daje przywilejów, rugowana jest z towarzystwa, usunięta od rozmowy, gdy tymczasem najstarszy mężczyzna mile widziany i zapraszany, bawi się narówni z młodymi i cieszy się nie raz łaskami dam.

Mężczyzna lubi mężczyznę — jeżeli tylko niema między nimi walki ani osobistej, ani partyjnej lub ideowej, każdy stosunek zaczyna się od bezstronności. Jeden na drugiego nie nastawia swej umysłowej lunety, aby w nim koniecznie wysświetlić jakiś feler, niewidzialny golem okiem.

Pomimo czaru, jakiego doznaje w obcowaniu z kobietami pięknymi i młodemi, nigdy mu bal, teatr, raut, nie zastąpiłyby cukierni i klubu. Mężczyźni przepadają za wyłącznie swoim, męskim towarzystwem, w którym czują się najlepiej i do którego wstęp przed kobietą zazdrośnie jest strzeżony.

Kobieta nie tylko kocha się w mężczyźnie, nie tylko żyje po to, aby mu się podobać (nie tylko ukochanemu, lecz całemu rodzajowi męskiemu), ona go uwielbia, naśladuje i czuje wrodzoną potrzebę opiekować się nim i dogadzać mu jak dziecku. Dlatego to męż-



czynna nigdy nie bywa osierocony tak, jak kobieta.

Co robią kobiety, gdy zbierze się damskie towarzystwo? Nudzą się śmiertelnie—są zgaszone—wyglądają jak kwiaty zwiędnięte na upale. W instytucjach, w stowarzyszeniach specjalnie kobiecych, z których z natury rzeczy męczyzna powinien być wykluczonym, nie mogą sobie dać rady, nie mogą sobie znaleźć miejsca, dopóki nie wprowadzą choć jednego i nie postawią go na czele. Musi być jakiś prezes, ksiądz, opiekun, wodzirej...

Same?—nigdy! Choć są już teraz wykwalifikowane we wszystkich kierunkach—biegłe w rachunkowości, administracji, finansowości, prawie i t. d. i t. d.

Mając do wyboru pomiędzy panem K., którego nie zna, a panną Z., której też nie zna, naczelnik biura będzie wolał dać posadę panu K. przez solidarność męską. Jeżeli proteguje kobietę, to swo-

ją—„swoją“ w trybie pozytywnym, czy w trybie życzącym.

Męczyzna na polu zarobkowania przez solidarność męską trzyma za

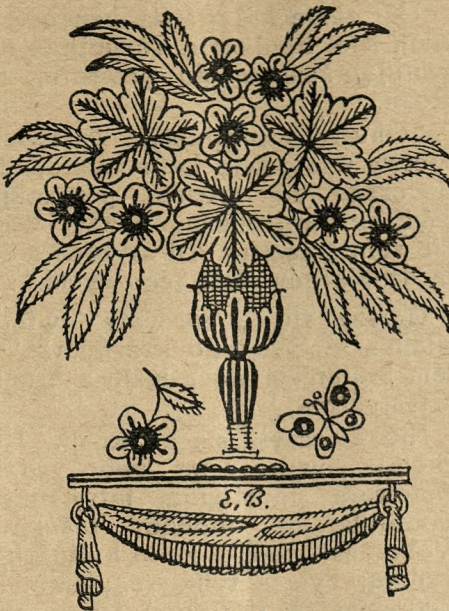
męczyzną—bojkotuje kobietę, kobieta przez antagonizm kobiecy popiera także męczyznę, a bojkotuje kobietę.

Kobietę genialną bez pardonu się dusi—męczyźni dla idei swojej supremacji—kobiety przez zawiść.

Nie pytam się już, czy to jest etyczne—zapytuję, czy to jest mądre?

O każdą wielką kobietę każda kobieta staje się większą—tak jak znaczna suma, włożona do kasy stowarzyszenia, czyni każdego członka bogatszym.

Gdyby kobiety myślały nad tem, co robią, zamiast impulsywnie działać zawsze pod wpływem pasji, toby odwojowywały każdą wielką kobietę, jak należący się im kapitał. One przychodzą z adoracją—za to przesadną i grubo przeszarżowaną—ale nie pierwej, aż uznają i wywyższą męczyźni—tę, która albo jest „swoją“ dla jakiegoś wpływowego człowieka—albo jest użyteczną dla jakiejś partji. (d. c. n.)



R. M. B L Ü T H

## KARTKA Z DZIEJÓW KATOLICYZMU W ROSJI W PIERWSZEJ POŁOWIE XIX W.

3

(KSIĘŻNA ZINAIDA WOLKOŃSKA)

Jeszcze jedno nawrócenie w rodzinie Golicynów specjalnie nas obchodzi. W r. 1843 w Rzymie, chyba przy współudziale ks. Zinaidy Wołkońskiej, przechodzi na katolicyzm ks. Teodor Golicyn, sekretarz poselstwa w Rzymie i zaciąga się w r. 1848 do milicji papieskiej (katolikiem zostaje także brat jego Michał).

Oto, co można powiedzieć o atmosferze, panującej w 1810—17 r. na dworze Aleksandra I. Wpływ ten sięgał tak głęboko, że nawet cesarz nie był dlań obojętnym. Był moment, że i on nosił się z zamiarem, po abdykacji, przejścia na katolicyzm i zamieszkania z żoną gdzieś za granicą. Pisał o tem ks. Gagarina—jezuita też nawrócony w Rzymie w 1841—43. Projekt nie doszedł do skutku. Car—po przełomie psychicznym 1820 roku—stał się mistykiem-kwietystą, wpadł pod przemożny wpływ archimandryty Focjusza (niekulturalnego, choć głęboko wierzącego fanatyka prawosławia<sup>1)</sup>).

Nawrócenie Wołkońskiej odbyło się dopiero później, zdala od tego

dworskiego nurtu. Być może, że z początku przeciwstawiała się ona temu wpływowi, bądź co bądź, wynaradawiającemu. Że nie była dla katolicyzmu wrogą przed nawróceniem, tego dowodem, powierzenie wychowania syna—towarzyszowi de Maistre'a ks. jezuitę, Nicollowi.

Dotychczas niewiadomo, kto w 1828—9 wpłynął pod tym względem na księżnę.

<sup>1)</sup> Porównaj Wielikij kn. Nikołaj Michajłowicz: „Imp. Aleksander I“; biskupa Godlewskiego „Mistyctwizm w epoce Aleksandra I.“ „Przegląd Powszechny 1924—25. Relacje Gagarina podał bez komentarzy i zaprzeczeń oficjalny „Russkij Archiw“—1877 „O mniom obraszczeni w katolicystwo Aleksandra I-o“.

<sup>2)</sup> „Szesť pisiem Imp. Aleksandra I k' kn. Zinaidie Wołkonskoj“, Zbornik Rus. Istor. Obszcz. 1868 g.

<sup>3)</sup> O dziwnej carowej rewolucjonistce, współniczce zamachowców z 1801 r.—przezwaną „Białą damą Romanowów“—patrz Mereżkowskiego: „Bolszaja Rosija“—rozdział jej poświęcony.

Fama—policyjna—głosiła wówczas, że „winowajcą“ głównym jest... Adam Mickiewicz (o tem niżej).

Z zapalem w okresie po-napoleońskim oddała się księżna obowiązkom damy dworu. Podbiła czarem własnym i artystycznym walorami europejskich dyplomatów. Do jej wielbicieli należeli: baron Stein, Metternich i inni.

Zachowały się listy cara Aleksandra do niej<sup>2)</sup>. O listach tych pisze biografka: „Listy te są bardzo charakterystyczne, gdyż malują rycerską czołobitność Aleksandra względem tej, którą poczytywał za „największą ozdobę swego dworu“.

Jak już nadmieniliśmy, księżna Zinaida żyła się z całą rodziną cesarską. Była przyjaciółką żony cara, nieszczęśliwej istoty, szamoczącej się na znienawidzonym przez siebie dworze rosyjskim<sup>3)</sup>, ulubioną też przez carową-matkę, żonę zamordowanego Pawła. Zupełnie zrozumiałem jest, że stosunki między europejską nawskroś damą, a carem, zaczęły się psuć po 1815 r. Twórca „Świętego Przymierza“—



wtedy szukał innego towarzystwa. Otaczać go zaczęli ludzie tego typu, co Jung-Stilling (mystyk ultrakonserwatywny) i bar. Krüdener...

Przytaczamy wyjątek z listu cara o planowanym orderze podwiązki: „Uznaję, że jestem niezupełnie godny, ale niemniej zgadzam się całkowicie, z tym wyrazem myśli, które Pani o rycerstwie wyraziła... i zawsze Jej sąd przekładam nad inne.

Jeżeli odczucie żywe tego wszystkiego, co promieniuje na zewnątrz od kobiety uroczej — jest jednym z warunków, na prawo posiadania tej odznaki, to spodziewać się mogę, iż go otrzymać mogę. Ze swej strony dążyć będę do uzyskania nań prawa. Bardziej, niż kiedykolwiek, proszę o traktowanie mnie, jako oddanego Jej sercem i duszą na wieki. dodam tylko: „Honni soit qui mal y pense.“

A w innym:

„Pałam z niecierpliwości, by paść do stóp Pani. Już wczoraj pożałowałem tego szczęścia, ale niebiosom, lub ściślej mówiąc księciu Schwarzenbergowi i Radeckiemu zawdzięczać mogę, że się to nie stało.

Byli u mnie do jedenastej. Czy mogę zjawić się dziś u Pani między siódmą, a ósmą.“

Listy przesyłane są przez przybocznego adjutanta — męża księżnej Zinaidy.

Pojawiły się pierwsze utwory pisane po francusku. Wytworne-bezpretensjonalne: „Le demi mot. La musique“. W salonie swoim w Paryżu i Wiedniu, wystąpiła też po raz pierwszy — jako śpiewaczka. Słynna wówczas aktorka paryska m-elle Mars, żaliła się, „że taki talent sceniczny przypadł w udziale damie wielkiego świata.“

Już wtedy szła z pomocą talentom odkrywającym przez siebie, a jeszcze nie znanym powszechnie.

Zorganizowawszy trupe śpiewaczko-amatorską, wystawiła w Paryżu, na scenie jakiegoś prywatnego teatru, operę Rossiniego „Station in Algieri“. Było to pierwsze wystąpienie Rossiniego na ziemi francuskiej.

Dobra, uczynna, nie waha się dopomagać ludziom źle widzianym na dworze, gdy o prawości ich ich czynów jest przekonana.

W 1816 r. — wstawia się u Aleksandra za Łunina<sup>4)</sup> — junacko de-

monstrującego na korzyść Neja i Ladedoyera. Naraża się na wymówki: — car przecież Łuninowi tej demonstracji politycznej nie przebaczył nigdy, choć zemścił się po swojemu, milcząc<sup>4)</sup>.

Car zaniechał zemsty bezpośredniej. Ale ironicznie reaguje — nawołując księżnę do powrotu, do Rosji.

„Oburzało mię nietyle wstawienictwo w sprawie Ladedoyera, ale, do czego się zresztą przynaję, fakt, że Pani okazujesz zbyt wielkie zainteresowanie Paryżowi, z całą drobiazgowością jego życia.“

Gorszy się „uroczysty“ wtedy władca — „Świętego Przymierza“ — tem brataniem się księżny z bracią artystyczną.

Nie śpieszyła się do Rosji. Nie chciała powracać na dwór, gdzie panowała podstępna, intrygująca kamaryla, ot, choćby teściowa Wołkońska, tępą i mało kulturalną frejlina, żyjąca tylko regulaminem dworskim (w 1826 ona to, matka skazanego na Syberję dekabrysty, manifestować będzie, aż do podłości swą wiernopoddaczość).

Wiedziała, że jest tam w Petersburgu znienawidzona. Była przecież wyróżniana przez rodzinę cesarską; była w zażyłej przyjaźni ze znienawidzoną Elżbietą, żoną Aleksandra I.

Przybyła dopiero w 1817. Zamieszkała w Moskwie. Intrygi dwor-

<sup>4)</sup> Porów. naszą „Kartkę“, pierwszą poświęconą Łuninowi — Przegląd Powszechny 1925. Czerwiec—lipiec.

<sup>5)</sup> Słynny żandarm-doradca Mikołaja I był wychowankiem Nicolla. Ciekawem jest to, że przy końcu życia, syt sławy i przekleństw—przeszedł na katolicyzm.

<sup>6)</sup> Ks. Wiaziemskij. Dzieła t. I — „Pensjonat jezuitów“ (XXIII—XXIX).

<sup>7)</sup> „Zapiska abbata Nicolla o wospitanji kn. Aleks. M. Wołkonskiego“. Rus. Archiw. 1895 (IV L. 486-91)

Nasuwa to jedno porównanie, czy skjarzenie historyczne. Dzięki kampanji „szubrawców“ wileńskich — zasłynęła akademja połocka — jako „Smorgońska“. W epoce wojującego pozytywizmu „zajął się nią ponownie Piotr Chmielowski. Dziwnem się nam wydaje to, że ci sami mniej więcej ludzie w Rosji prawosławnej uchodzili za kulturalnych, a w Wilnie (1515 — 20) za „obskurantów“. Wartoby było sprawdzić dociekania Chmielowskiego.

skie zmuszają ją do przeniesienia się do Odesy.

W lipcu 1818 r. poeta Batuszkow donosi swej znajomej:

„W tej chwili idę do ks. Zinaidy Wołkońskiej; zamieszkała tutaj i wszystko znalazło się u jej stóp“.

W Odessie zajęła się wychowaniem syna. Uczucia macierzyńskiego wcale nie zagłuszyło w niej życie dworskie. Zagranicą stale była z maleńkiem dzieckiem. Choć stale wyrzuca sobie, że synowi nie oddaje się całkowicie. Gdy podrósł — rzuciła dla niego dwór.

Sprawa wychowania syna zbliżyła ją do jezuitów. W Odessie zaprzyjaźniła się ze słynnym wychowawcą-jezuitą Nicollem. Dominik Karol Nicolle — założyciel szkoły-pensjonatu, był powszechnie wtedy uznawany za najlepszego wychowawcę pedagoga. Arystokratyczni ojcowie ubiegali się o to, by Nicolle wychowywał ich dzieci. Do szkoły tej uczęszczał ks. Wiaziemskij — „przyjaciel moskal“, Wołkońscy, Gagarinowie, Naryszkinowie, Benkendorfowie<sup>5)</sup>.

Ks. Wiaziemskij w swych pamiętnikach bardzo życzliwie wspomina o swych chłopięcych latach w szkole jezuitów<sup>6)</sup>:

„Owi jezuitci, poczynając od rektora O. Czyra, byli, choćby w okresie mi znanym — wychowawcami oświeconymi, wybitnymi i rzetelnymi. Poziom pedagogiczny był bardzo wysoki. Zachowanie wychowawców względem uczni nie było srogie, raczej rodzicielskie. Pozostawiano pewną swobodę myśli i mowy. Nigdy nawet próby żadnej nie było przekonywania nas o tem, że Kościół Rzymski stoi wyżej od Cerkwi. Żadnej nie robiono różnicy między uczniami różnych wyznań. Do kościoła nas nigdy nie prowadzono.

W dalszym ciągu notatki — ks. Wiaziemskij oburza się na wypędzenie jezuitów. Widzi w tym czynnie Aleksandra I odstępstwo od tych zasad, które na zewnątrz głosił o obronie legalności w stosunkach społecznych.

Zachowała się bardzo ciekawa notatka — program Nicolla — przedłożony do zatwierdzenia księżnej. Ciekawy ten dokument faktycznie pozwala na stwierdzenie tego wysokiego poziomu pedagogicznego, na którym ówczesni jezuitci stali<sup>7)</sup>.

(c. d. n.)





JOSEPH CONRAD (JÓZEF KORZEŃIOWSKI)

TŁUMACZYŁA TERESA TATARKIEWICZOWA

## Z POWODU DOLARÓW

8

(dokończenie)



stotę tę, którą Anna pozostawiła na ziemi, Davidson w swym sumieniu uważał jako święty depozyt. Stał na nogach i drząc jeszcze wewnętrznie, odwrócił

się, kierując ku domowi.

Pomimo trwogi był jednak zdecydowany. Roztrzaskana czaszka zrobiła na nim silne wrażenie; czuł się bezbronnym w ciemnościach: zdawało mu się, że to tu, to tam słyszy kroki, skradającego się mordercy bez rąk. Lecz raz postanowiwszy coś, nie cofał się nigdy. Zresztą wydostał się z chłopcem szczęśliwie. Dom zastał pusty. Otaczało go głębokie milczenie; raz tylko, gdy schodził po schodach, niosąc Tony'ego w ramionach, doszedł go słaby jęk, który zdawało mu się, że pochodzi z ciemnej jak piekło przestrzeni pośród pali, na których dom był wybudowany, lecz nie zatrzymał się dla zbadania tej sprawy.

Nie warto opowiadać szczegółowo, jak Davidson dostał się na statek, niosąc w swych ramionach ciężar, którym go obarczyła nieszczęśliwa dola Anny; jak następnego ranka wystraszona załoga, zbadawszy naprzód zdaleka stan rzeczy na statku, powróciła pośpiesznie; jak Davidson wysiadł na wybrzeże i, z pomocą swego mechanika (wciąż jeszcze nawpół żywego ze strachu) przyniósł na statek ciało Anny Śmieszki zawinięte w prześcieradło, aby potem pochować je w morzu. W czasie tego zbożnego zajęcia Davidson, rozglądając się wokoło, zauważył przy narożnym palu domu ogromny stos białej odzieży. Pamiętając o słyszonym w nocy okropnym jęku, nie wątpił, że leży tam Francuz, morderca nieszczęśliwej Anny, śmiertelnie ugodzony jego wystrzałem, danym na oślep.

Pozostałych współników Francuza Davidson nigdy w życiu nie spotkał. Nie wiadomo, czy ukryli się wśród wystraszonych mieszkańców osady, czy uciekli w puszczę, czy też przyczaili się gdzieś w zapadłej miejscowości która leżała w mule o jakąś setkę jardów w górę zatoki—dość, że zniknęli, a Davidson nie troszczył się o nich. Jak tylko rozpoczął się przypływ, Davidson, nie tracąc ani chwili czasu, wprowadził „Sissie” z zatoki. Gdy

już odpłynął — około dwudziestu mil od brzegu „powierzył ciało głębinom morskim”, jak się wyrażał. Sam wszystko zrobił: przywiązał do jej ciała ciężar, odczytał modlitwy, przechylił deskę, on był jedynym, który ją opłakiwał. I gdy oddawał zmarłej ostatnią posługę rozpaczliwy smutek tego życia i nędzny jego koniec wołał do niego o współczucie i szeptał mu ciche wymówki.

Powinien był w inny sposób skorzystać z jej ostrzeżeń. Był teraz pewien, że podkreślanie jego czynności byłoby odstraszyło tę podłą i łchórzliwą bandę, lecz nigdy na prawdę nie wierzył w możliwość napadu.

Gdy ciało Anny Śmieszki zostało „powierzone głębinom” o jakie dwadzieścia mil na SSW. od przylądka Selatau, Davidson'owi pozostawał już tylko obowiązek oddania jej dziecka pod opiekę swej żony. I wówczas nieszczęsny, a zacny Davidson popełnił fatalny błąd. Nie chciał jej opowiedzieć całej tej okropnej historii, aby się nie przyznać do niebezpieczeństwa, którego uniknął wkrótce po wyśmianiu jej urojonych obaw:

„Myślałem, że gdy jej wszystko opowiem,” tak się tłumaczył przedemną Davidson, „nie będzie miała ani chwili spokoju w czasie mych wypraw”.

Powiedział jej tylko, że malec był sierotą, a względem jego rodziców miał takie zobowiązania, że poczuwał się do opieki nad nim. Kiedyś, w przyszłości opowie jej więcej, a tymczasem liczy na jej dobre, gorące serce i na litość wrodzoną kobiecie.

Nie wiedział, że serce jej było tak małe, jak ziarno suchego grochu i że zawierało proporcjonalnie mało ciepła, a całe uczucie do jakiego była zdolna, zlewała na siebie samą. Rozczarowało go jedynie nieprzyjemnie chłodne zdziwienie i wzrok podejrzliwy, z jakim wysłuchała jego niedokładnej opowieści; nic na to nie powiedziała, zresztą zawsze była małomówna. Była to beznadziejnie głupia istota.

Załoga Davidson'a uważała za stosowne rozpuścić po mieście wieści, które nie odpowiadały ani prawdzie, ani temu, co opowiadał Davidson. On sam zwierzył się paru z pośród swych przyjaciół, nie mówiąc już o tem, że o całej tej

historji oficjalnie doniósł Dyrektorowi Portu.

Dyrektor Portu był niesłychanie zdumiony. Nie uważał jednak, aby warto było złożyć oficjalną skargę holenderskiemu rządowi, gdyż po długiej korespondencji i wielu kłopotach w końcu nicby nie było zrobione. Rabunek nie doszedł ostatecznie do skutku. Włóczęgów i tak w końcu djabli wezmą bez niczyjej pomocy. Biedną Annę całe to zamieszanie do życia nie przywróci, a sprawiedliwości stało się zadość, gdyż Davidson'owi udało się wypadkiem zabić mordercę. Lepiej sprawę tę umorzyć.

Tak nakazywał zdrowy rozsądek, niemniej jednak na Dyrektorze cała ta sprawa zrobiła silne wrażenie:

„To okropna historia, kapitanie!”

„Tak, rzeczywiście okropna”, potwierdził Davidson, dręczony wyrzutami sumienia. Ale nie wiedział jeszcze o najokropniejszej dla niego rzeczy: w umyśle jego głupiej żony powoli dojrzewała myśl, że Tony był synem Davidson'a, że Davioson wymyślił niezgrabną tę opowieść w tym celu, aby go wprowadzić do ich porządnego domu, nie licząc się z najświęszymi dla niej uczuciami: z przyzwolnością i cnotą.

Davidson'a uderzył pewien przytomus, który się wkradł w jego domowe stosunki. Lecz żona jego w najlepszych... nawet czasach nie objawiała swych uczuć; oziębłość jej miała urok dla spokojnego Davidson'a. Kobiety bywają kochane z najrozmaitszych powodów, nawet takich, które dla innych są raczej odpychające. A ona, obserwując go, podsyciała swe podejrzenia.

Pewnego razu Ritchie, zwany Małpą, odwiedził „słodką i nieśmiałą” panią Davidson. Przyjechała tu pod jego opieką; uważał się więc za uprzywilejowanego, najdawniejszego jej znajomego w tej podzwrotnikowej krainie i udawał wielkiego jej wielbiciela. Był bardzo gadatliwy, a że wiedział coś nie coś o całej tej sprawie, zaczął pleść na ten temat, przypuszczając, że jest dokładnie o wszystkim poinformowana. Naturalnie wspomniął coś o Annie Śmieszce.

„Anna Śmieszka?” zapytała, wzdrzygnawszy się pani Davidson. „Któż to jest?”

Ritchie zaplątał się w zawile objaśnienia, lecz pani Davidson przerwała mu wkrótce:



„Ta kobieta już nie żyje?”  
 „Zdaje mi się, że tak,” wybełkotał Ritchie. „Przynajmniej mąż pani tak mówi.”

„Lecz pan nie wie tego napewno?”  
 „Nie! skądbym to mógł wiedzieć napewno!”

„To wszystko, co chciałam wiedzieć”, odrzekła na to i wyszła z pokoju.

Gdy Davidson powrócił do domu była już przygotowana do wystąpienia przeciwko niemu: nie wylała na niego potoków pospolitego oburzenia, lecz miał uczucie jakby zimny strumień czystej wody spłynął mu po plecach. Mówiła mu, że z powodu płaskiej jego intrygi z tą marną kobietą stał się ogólnym pośmiewiskiem, wymawiała mu też, że znieważył jej godność.

Davidson ubłagał ją, aby go wysłuchała i opowiedział jej całą tę historję, przypuszczając, że wzruszyłaby kamienne nawet serce, usiłował jej wytłumaczyć swe wyrzuty sumienia. Wysłuchała go do końca i, powiedziawszy: „Czyż to możliwe?” odwróciła się do niego plecami.

„Nie wierzysz mi?” zapytał zgnębiony.

Nie odpowiedziała mu na to wyraźnie ani tak, ani nie, lecz zażądała natychmiastowego odesłania „bębna”.

„Nie mogę wyrzucić go na ulicę,” zawołał na to Davidson, „tego przecież nie żadasz odemnie!”

„Wszystko mi jedno. Dla takich dzieci istnieją, jak mi się zdaje, zakłady dobroczynne”.

„Tego nigdy nie uczynię,” odparł jej Davidson.

„Dobrze. To mi wystarczy”.

Odtąd dom stał się dla Davidson'a piekłem milczącym i mroźnym. Głupia rozżalona kobieta jest gorsza od diabła, spuszczonego z łańcucha. Chłopca odesłał do Białych Braci na Malakkę. Nie była to bardzo kosztowna edukacja, ale żona nie mogła mu jednak wybaczyć, że nie pozostawił dziecka własnemu jego losowi. Doprowadziła wreszcie poczucie swej krzywdy i obrażonej niewinności do takich wyżyn, że gdy raz nieszczęśliwy Davidson chciał jej wytłumaczyć, aby była rozsądna i nie zatruwała im obojgu życia, wystąpiła przeciwko niemu z zimną wściekłością i powiedziała mu, że sam jego widok jest dla niej wstrętny.

Davidson, ze swą przesadną delikatnością uczuć, nie należał do rzędu ludzi, którzy umieją zapewnić sobie prawa do kobiety, nie znoszącej nawet ich widoku. Opuścił głowę; wkrótce potem ułatwił jej powrót do rodziców, czego zażądała w swej obrażonej godności. Zresztą nigdy nie lubiła podzwrotnikowych okolic i w głębi serca niecierpiała ludzi, wśród których musiała żyć, jako żona Davidsona. I wywiozła swą czystą, wrażliwą, głupiutką



duszyckę do Freemantle, czy gdzieś w tym kierunku; zabrała naturalnie córeczkę ze sobą, bo i cóż byłby biedny Davidson zrobił obarczony małą dziewczynką, gdyby nawet (czego nie można sobie wyobrazić) zgodziła się ją zostawić.

Oto, co odmieniło uśmiech Davidsona. Nie byłoby się to nigdy stało, gdyby nie był tak zacnym człowiekiem.

Hollis przestał mówić. Lecz nim wstaliśmy od stołu, zapytałem go, czy nie wie, co się stało z synem Anny Śmieszki.

Policzył dokładnie resztę, którą mu podał kelner Chińczyk i podniósł głowę:

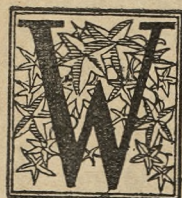
„Ach! to był ostatni cios! Jak wiesz był to wesoly, miły chłopczek i Ojcowie wychowywali go ze szczególną starannością. W głębi serca Davidson miał nadzieję doczekać się z niego pociechy, gdyż pomimo zewnętrznego spokoju, potrzebuje ciepła. Tony wyrósł na porządnego młodzieńca, lecz w tym sęk, że chce być księdzem; a jedynym jego marzeniem jest: zostać misjonarzem. Ojcowie zapewniają Davidsona, że ma prawdziwe powołanie; mówią mu też o specjalnych zdolnościach młodzieńca do pracy misjonarskiej. Syn Anny Śmieszki będzie pędził świętobliwe życie gdzieś w Chinach; może nawet zostanie męczennikiem; lecz biedny Davidson pozostanie znów samotny i nie będzie miał ani jednej bliskiej sobie duszy, gdy będzie opuszczał drogę życia. I to dlaczego? dla tych wycofanych z obiegu dolarów!”

Styczeń 1914

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

## ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



Wzięłam list. To samo pismo pensjonarki: duże, nieco kanciate litery. „Ile zeszytów, zapisanych tą samą ręką, poprawiłam przed laty”, przemknęło mi przez głowę. Ela pisała o wszystkim i o niczem, na czterech bitych stronach. Trzeba mieć wiele czasu, by pisać takie listy. Pogoda ładna, znajomi się porozjeżdżali. Wczoraj—poszła sama do teatru, ale wróciła do domu po drugim akcie, bo sztuka s nutna i napewno kończy się samobójstwem. Wstaje oko-

ło południa, ale i tak wychodzić nie może, bo upał ją męczy. Żałuje teraz, że nie chciała pojechać nad morze. Chociaż z drugiej strony nie mogłaby pewnie znosić ciągłego szumu fal. Teraz już wkrótce zaczną się wyścigi. „Kupiłam sobie psa, wilczka, ale na drugi dzień zginął bez śladu. Szkoda, bo czułam, że mogę go polubić. Chociaż najlepiej ze wszystkich byłoby, abym umarła”.

Ani jednego zapytania, ani lekkiego napomknięcia o terminie powrotu Zbigniewa. Tylko na ostatniej stronie dopisek: „Był tu przed kilku dniami Kromski, wiesz, syn

tego Kromskiego, co to stryjowi Klimontowskiemu wytoczył kiedyś proces o zniszczenie łąki przez zalew. Spotkaliśmy się u Edziów. Mówił, że widział się z tobą przełotnie w N. Opowiadał także sporo o tamtejszych stosunkach wojennych. Podobno w samym N. powstała szkoła siedmio oddziałowa. Krysi Darowskiej, która tam jest nauczycielką, powiedz przy sposobności, że zawsze myślę o niej z głębokim uczuciem wdzięczności. Była dla mnie taka dobra w dzieciństwie”.

Oddałam Zbigniewowi list, mówiąc.



— Nie powtórzyłeś mi słów, które Ela przysłała dla mnie.

— Poproście zapomniałem.

— Zdaje się, że zapomniawszy również... Właściwie zapomnieliśmy oboje, że ona tam czeka oddawna.

Szliśmy spory kawałek drogi w zupełnym milczeniu. Ptaki śpiewały ciągle, cały las rozbrzmiewał od tych piosenek niefrasobliwych, to znów od krakań złowieszczych, to znowu od cichutkich skarg. Ze szczytu wysokiej sosny porwał się jastrząb i równym, śmiałym lotem przeciął sobie drogę przez gąszcz ku błękitnym niebiosom. Jednocześnie, jak na komendę, przycichły chóry ptasie. Tylko pośród konarów owej sosny zakotłowało się nagle i kilka głosów jęło popiskiwać coraz żałośniej i coraz natarczywiej.

— Popatrz, małe są jeszcze w gnieździe! — zauważył Zbigniew, ukazując ukryty wśród gałęzi szary domek jastrzębi, z którego sypały się piórka.

Zapytałam spokojnie:

— Kiedy masz zamiar wyjechać?

I po chwili, stanowczym tonem:

— Trzeba, abyś pojechał, Zbigniewie.

— Wiem. — odparł. — Już o tem myślałem dziś rano.

### XXXIII.

Stara kobieta o twarzy pomarszczonej i żółtej wprowadziła mnie do wnętrza. Jest to ten sam wielki, nieco ponury pokój z surowym obiciem w ciemne kwiaty. Znam go tak dobrze! Na połupanym kominku...

Lecz co to? Czyżbym uległa halucynacji, czy też niepojętym sposobem życie moje cofnęło się o trzydzieści lat wstecz? Na połupanym kominku, w miejscu, gdzie warstwa kurzu grubiała z roku na rok, znów stoją wazoniki chińskie. Te same. Na jednym z nich dostrzegam nawet, mimo półmroku, poprzeczną rysę — ślad, gdzie został ongi sklejonny.

Poczynam się rozglądać, nie wierząc własnym oczom. W głębi, pod ścianą, kanapa ciotki Eufemji wygląda jakoś uroczyście, wytrzepana i odczyszczona. Przed nią okrągły stół, na stole lampa naftowa. Po bokach zajęły miejsca oba fotele, z godnością wparłszy w posadzkę kabłąkowate nogi. Wszystkie dostojne sprzęty, zdawałoby się, zastygły w postawie oczekiwania. Jeszcze chwila, a stukną głośno drzwi dębowe i stukną nieco rzuci gniewną uwagę:

— Nie poznajesz mię? W ziemię wrosłaś, że tak stoisz, jak drewno?..

Ale drzwi pozostają zamknięte.

Tylko za memi plecami inny, znajomy głos, Wątkowej — obwieszcza z dumą:

— A co, proszę pani. Jakiśmy to wszystko wyrzucili z moim starym! Akuratnie tak, jak pan Rymsza przykazał, żeby było. Inszych gratów tam na strychu zostało dość, ale pan Rymsza nie dał ich ruszyć. Tylko te pownosić powiada i poustawiać, gdzie naznaczy. I co paniusia powie! Kryd o m kółka ponasywał na ziemi, że to niby my, stare ludzie, pamięci nie mamy dobrej. Ale już też i prawda, że te graty jeszcze starsze. Próchno się z nich sypie, proszę paniusi, tylko tknąć. Po prawdzie, toby mógł taki dziedzic meble nowe sprawić, jak się należy.

— Pan Rymsza, moja Wątkowo, życzy sobie widocznie, żeby wszystko zostało tak, jak było za dawnych lat, kiedy tu jeszcze nieboszczka pani Klimontowska rządziła w Klimontowcach.

— Ano, ano... — skinęła głową. — Tak i my rozumieli z moim starym. Wszyściutko tak, jak było. Nie przemieniać nic. Jak pani myśli, dobrze teraz? Niczego nie braknie?

— Jeszcze tylko zegara, który stał zawsze na tym kominku. Ale go właśnie przyniosłam, przed wyjazdem.

— Więc to prawda, co ludzie mówią! — zawołała babina. — Wyjeżdża pani?

— Tak, moja Wątkowo. Już wkrótce. Za dwa, trzy dni najdalej.

Załamano ręce z wielkiego żalu.

— O mój Boże. To się dopiero Teoś zamartwił! To będzie beczka! On nic, tylko ciągle o pani i o tej szkole...

— Szkoła zostanie, moja Wątkowo i będziecie chłopca posyłali, prawda?

— Ano... pewnie, że tak... Tylko że jak tu dzieciak bez paninej pomocy da sobie radę? Toż paniusia dla niego, jak matka rodzona... I w domu douczała... Oj, będzie Teoś lamentował, będzie...

Żeby przerwać te gorzkie żale, zaczęłam z innej beczki:

— Wątkowa odpakuje ten zegar, dobrze? Zostawiłam go w przedpokojku. Tylko ostrożnie, moja kochana, żeby szkła nie stłuc.

Wyszła posłusznie. Zbliżam się do kominka, rozsuwam oba wazoniki cokolwiek na bok ażeby zrobić miejsce. O, tak. A teraz tu sobie zostaniesz, mój stary przyjacielu... Wątkowa, która już przyniosła zegar, przypatruje się z boku jak go ustawiam, przecieram po raz ostatni palisandrowe ścianki chusteczką. Wreszcie pyta:

— To on nie chodzi?

— Nie. Chciałam go dać do naprawy, ale mi powiedzieli w miasteczku, że tutaj nikt nie poradzi. Mechanizm jest stary, zniszczony...

Wątkowa namyśla się, coś waży, wreszcie mówi.

— Po prawdzie, to na co taki zegar potrzebny? Pożytek z niego żaden. Tylko kurz ścierać i tyle...

— Pamiątka, moi kochani. Taka pamiątka, jak wszystko tutaj...

— Ano i to racja. Jak człowiek długo pożyje, to się tych pamiątek nzbiera... Obcy na to nie łasy, tylko swój.

— Dobrzeście powiedzieli. Dla jednego taki właśnie zegar dużo znaczy, bo to pamiątka, a dla drugiego — nic, bo popsuty.

Zagawędziłyśmy się z babiną, spostrzegłam, że dzień poczyną przygasać. Coraz to krótsze już dni. W lipcu, o tej porze, słońce było wysoko...

— Czas wracać, — rzekłam, — zanim dojdę do domu, już się zupełnie ściemni. Tylko jeszcze, moja Wątkowo, mam do was jedną prośbę: zajdziecie od czasu do czasu na cmentarz, albo wnuczka możecie posłać. Tam jest grób, taki duży, wiecie, kamienny. To z boku, wiecie, po prawej ręce, mała płytka mosiężna. Zaniesiecie trochę kwiatów dla mojej matki, albo, jeżeli zima, kilka gałązek świerkowych. Zrobicie to, prawda? Macie tu trochę pieniędzy.

— Co też pani! Od pani będę pieniądze brała — obruszyła się staruszka. — I jeszcze taki grosz! Już niechaj się paniusia nie boi. Sama zajdę, a jakby mi nogi dokuczały, bo to pod zimę zawsze, to chłopak polecą. Jeszczebym też dla pani tego zrobić nie miał!

— Dziękuję wam. Zostańcie z Bogiem, moja Wątkowo.

— I paniusia niech z Bogiem... — rozplakała się. — Oj, będę ja miała z Teosiem, jak usłyszy... A co też panu Rymszy powiedzieć, jak tu przyjedzie? Już to pewnie się zdziewi pan Rymsza...

— Powiedzcie mu, że sama odniosłam zegar. Bądźcie zdrowi, moja kochana...

Wróciłam do domu nie przez wieś, ale łąkami... Droga o połowę krótsza i dwa razy piękniejsza... Mój Boże, jak te skabiozy obficie kwitną... Trawy nie widać, niebiesko i niebiesko. Przecież rok temu...

Jakiś złośliwy chochlik szepcze mi w ucho: właśnie rok temu dziwiłaś się tak samo. Zawsze się dziwisz...

Tak. Dziwię się. Dziwię się bardzo na myśl, że te skabiozy zakwitną znowu za rok, chociaż mnie tu nie będzie. A więc naprawdę może ostatni raz patrzeć na nie?..



Jak gwałtownie poczyną się ściemniać! Wilgotny chłód płynie od rzeczki. Przyspieszam kroku. Trzeba dziś jeszcze zająć do proboszcza. Muszę mu zdać różne szkolne papiery, omówić mnóstwo spraw. Lekcje rozpoczną się w przyszłym tygodniu. Moja następczyni przyjedzie lada chwila.

Moja następczyni! Toż się zdziwi panna Leonka! Zdziwi i zmartwi. Lubiła mię, pomimo, że jestem, jakas inna, jakby obca pośród tutejszych ludzi. A jednak żyłam się z nimi i ciężko mi odjechać jeszcze i z tego względu.

Nie mogę zapomnieć stroskanej twarzy proboszcza, gdy po długiej rozmowie (była to raczej spowiedź), pokazałam mu list do inspektora. List z prośbą o przeniesienie do innego powiatu, do innej dzielnicy kraju, daleko, daleko.

Biedny proboszcz długo czytał list, kręcił się niespokojnie na krześle, chrząkał, tarł czoło. Dopomogłam mu wreszcie sama:

— Czy ksiądz nie sądzi, że tak będzie najlepiej?

— W istocie, moja córko... Szczerze mówiąc.. Bo to człowiek jest człowiekiem... Że tego... Co ja chciałem powiedzieć? Aha, że tak się przetnie, jak nożem... A pokusę nietylko zwalczać trzeba, ale jej unikać... Bo to człowiek ułomny.. Raz odniesie zwycięstwo nad sobą, a drugi raz... A skoro sama dobrze rozumiesz, moja córko... Tylko, prawdę powiedzić, to nam tu wszystkim bardzo będzie pani brakowało...

Wracając z plebanji wrzuciłam na pocztę ów list. Dziś—mam w kieszeni odpowiedź. Uwzględniono mą prośbę, choć również z żalem Wszędzie żal. Ksiądz proboszcz,



Teoś, dzieci ze szkoły, nawet rodzina burmistrza. Gdy przyjdzie mi jechać na kolej, wszyscy pewnie zgromadzą się na rynku. Będą machali chusteczkami, będą wołali: „dowidzenia“! dopóki nie zniknę im z oczu, na skrócie Alei Klimontowskiej.

A ja już tutaj nie wrócę. Kędyś, daleko stąd, czeka mię znowu szkoła, podobna do tej. Widzę już rzędy ławek i jasne główki, pochylone nad zeszytami. Widzę już pierwszą godzinę lekcji, poczynającą się od słów pacierza: „W Imię Ojca i Syna i Ducha“...

Później będę wracała do domu, do jakiegoś innego domu, którego mi użyczą ludzie poczciwi. Siądę cicho przy oknie, śledząc wczesny, zimowy zmierzch i czekając, aż zegar na wieży pocznie wydzwaniać godzinę: Raz... raz... raz...

Wówczas pomyślę pewnie o innym zegarze, pokazującym także prawdziwą godzinę, na którą w tej jedynej chwili jest miejsce w rzeczywistości i w czasie.

Wielka Bobra—Warszawa 1923—25.

(Koniec).

KAROLINA BIELAŃSKA

Z CYKLU: PROFILE ROMANTYCZNE

## PIĘKNA PAMELA

(LADY FITZGERALD)

1773—1831

18

### VII.

#### JAK LIŚĆ STRĄCONY Z DRZEWA.

„Dziwię się, że żyję jeszcze!“—wzdychała młoda wdowa, rozpamiętując straszne dzieje ostatnich miesięcy. Jakże! Kochali się tak bardzo, byli nierozłączni jak para gołębi ze smutnej bajki Lafontaine'a; gdy srogi ptasznik ugodził jedno, drugie przeżyć go nie było powinno. Prawda, zostawały jej dzieci, również namiętnie ukochane; one były temi „ogniwami, wiążącemi ją z życiem.“ Mogła nawet, dzięki ostatniej woli męża, wziąć sobie na niepodzielną własność syna—jedyńca, za którym tak bardzo nieraz tęskniła. Nie mogła jednak zdobyć się na zadanie ciosu babce, która w swoim smutku, tem dzieckiem jeno żyła. Nie zdając sobie sprawy, że przez tkliwość dla jego matki, gwałci ostatnią wolę ubo-

stwianego męża, młoda kobieta pisała:

„19 czerwca: My ever dearest Mother. Z jakąż niecierpliwością oczekuję chwili, aby przycisnąć Cię do mego smutnego serca i zobaczyć mego syna, tego jedynaka, którego ubóstwiam. Mamo, on do Ciebie należy.

„Powierzyłam Ci go w dniach szczęścia, daję Ci go teraz, jako mój skarb najdroższy.

„Niech będzie podobny do swego ojca, ale och, niech będzie od niego szczęśliwszy. Oto życzenie jego nieszczęśliwej matki.“

(Na odwrotnej stronie tego listu księżna napisała: Droga Edwardowa, oddająca mi swój skarb).

„Biedna, kochana maleńka — pisała później do Henryka — dear little interesting Pamela będzie zawsze dla nas świętym i cennym przedmiotem czułości. Choćby nawet nie była uroczem

stworzeniem, które musi się kochać dla niej samej, to była ona bożyszczem serca tego, który odszedł. Oto nierozwalne więzy, łączące ją z nami na wieki...“

Pamela ze swej strony tuliła się do rodziny.

„Powtórz mi, że jestem zawsze twoją siostrą, żoną twego ukochanego brata, że zawsze kochać mnie będziesz!“ — prosi Łucji.

„Drogi, dobry Henryku — zwraca się do szwagra — poradź ni, co mam robić! Biedna ja, czyż spodziewałam się kiedy, że sama będę musiała o sprawach moich dzieci stanowić!“

Któż byłby się nie ulitował biednej młodej kobiety. Kamień-by się użalił, widząc ją taką zgnębioną i bledziutką, pod ciężką czarną krepą. Nawet lady Henrykowa zapomniała o dawnej niecheci. Drobną jakąś uprzejmością: podarunkiem zrobionego przez siebie



kapturka dla małej Pam, pozyskała sobie wrażliwe serce bratowej.

Pan Ogilvie schował się gdzieś w cieniu, ale powoli zrobił swoje. Wpływał na żonę. Niebawem księżna poczęła godzić się jakoś ze zdaniem, że może... dla dobra całej rodziny... dla swego zresztą dobra... „biedna maleńka” powinny przyjąć zaproszenie, które serdeczna przyjaciółka Henrietta Mathiessen raz po raz powtarza i wyjechać do Hamburga, gdzie życie jest tak tanie, gdzie zresztą blisko znajduje się macierzyńska opiekunka: pani de Genlis.

Pamela zachnęła się. „Wiem, kto chciałby mnie wyprawić do Hamburga! — rzekła posępnie — wiem kto chciałby, abym mu zesłała z oczu... ale — wybuch — byłabym głupia, gdybym opuściła kraj nie rozpoznawszy dokładnie spraw moich w Irlandji, spraw majątku moich dzieci: to jest mój pierwszy obowiązek!”

Tymczasem rząd postarał się, aby biedna wdowa nie miała się o co troskać. W parlamencie wniesiono projekt uchwały: Bill of attainder, mocą której wdowa i sieroty po Edwardzie Fitz Gerald, winnym zdrady stanu, zostały pozbawione wszelkiego prawa własności, jako też praw cywilnych...

Lady Egalité wydawała się wciąż groźnym wrogiem władzom angielskim i dano do poznania, że obecność jej kompromituje rodzinę.

Lord Henryk, ochłonawszy już nieco po gwałtownym wybuchu rozgoryczenia, wywołanym śmiercią biednego brata, zaczął znów ulegać żonie, która drżała na myśl o jakim nielojalnym kroku z jego strony i pragnęła, aby żałobny welson Pameli, wiecznie przypominający bolesną stratę, usunął się z przed jego oczu.

Nie okupiła sobie biedna wdowa ofiarą ponowną syna spokojnego miejsca przy rodzinnym ognisku. W głębi duszy księżna była zawsze niespokojna i trochę zazdrosna o wnuka, lgnącego mimo wszystko bardziej do „ładnej mamusi,” niż do psującej go babki.

Na radzie familijnej uchwalono, by Pamelę do podróży najusilniej namawiać.

Jeden księżę Richmond gościł jej serdecznie ofiarowywał — prawdziwy wielki pan, odważniejszy był od innych — i siostra jego, innych Sarah Napier, oburzała się przeciw ukrytemu egoizmowi swych krewnych.

„Jakto — pisała — czyż świat nie zdziwi się, że wdowa i sieroty po człowieku, który był uwielbiany

przez rodzinę, zostały przez tą rodzinę opuszczone!”

„Cudzoziemka, sierota, piękna, wielkoduszna, prześladowana, zrujnowana i wygnanka — o imieniu tak sławnem, że historia zapisze go na swych kartach — czyż nie zasługuje na opiekę i czy historia sama nie wyda wyroku o szlachetności krewnych wobec niej, albo też o ich niesławie!”

Konflikt rozwiązał się łagodnie. Pamela zgodziła się na wyjazd do serdecznie ją wzywającej przyjaciółki.

Chodziło o maleńką Lucy. W ostatniej chwili doktor oświadczył, że maleństwo, wątłe od urodzenia, nie przetrzyma trudów morskiej przeprawy.

Wtedy dobra Zofja, niepokieszona po stracie ukochanego brata, wystąpiła z nieśmiałą prośbą: niech bratowa zostawi jej dziecinę: uszczęśliwi jej smutne staropanieńskie życie. Nie lubiąc świata, mieszka sama, romansowym obyczajem końca wieku, w chatynce strzechy krytej, obok majątku Henrykostwa. Dziecku będzie tam, jak w raju.

Cóż miała robić? Uległa. Łzami żegnana, lzy wylewając sama, poszła z jedną tylko córeczką, odarta ze szczęścia, wyzuta z majątku — biedne stworzenie o duszy kwietnej i ptaszęcej, zmiażdżone przez nieubłagane koło historii, której nawet dobrze nie rozumiała.

„Drogi anioł! Mam nadzieję, że miała dobrą podróż — pisała księżna do Zofji, robiącej ponoć wyrzuty matce, że nie zatrzymała Pameli.

„Zważywszy wszystkie racje — a nie wszystkie są ci wiadome — wierz mi moja droga, lepiej się stało, że sobie pojechała...”

\* \* \*

Władze miały swoje „racje,” gdy nalegały na wyjazd Francuzki, być może wiedzieli o nich i krewni.

Równocześnie, gdy w parlamencie dublińskim uchwalono konfiskatę majątku Fitz Geralda, wbrew wymownym głosom, piętnującym ten „proces, wytoczony bezbronnej mogile, żałobie wdowy i kołyskom sierotek” — potężną Anglią wstrząsał dreszcz trwogi.

„Hydra insurekcji, choć już niejedną głowę jej ucięto, nie chciała zginąć,” a na pomoc rozpaczliwie walczącym powstańcom, przybywała nowa wyprawa, jak pośmiertna myśl Hoche’a w czyn wcielona, pod wodzą przyjaciela zmarłego: generała Humberta.

Młody Bonaparte pochylał się nieraz zadumany nad mapą mórza, szukając miejsca, skądby ugodzić wiecznego swego wroga. Jednak

w ostatniej chwili zwrócił swoje spojrzenia w stronę Egiptu.

Humbert, człowiek szalonej odwagi, (który jednak podpisać się zaledwie umiał i pytał naiwnie: dlaczego do Irlandji nie można pójść pieszym marszem) — dostał zaledwie garść ludzi i przybył, gdy już powstanie gasło.

W tym tragicznym roku wszystko działo się zawcześniej, albo za późno. Wyprawa Humberta miała tylko dać światu jedyne w swoim rodzaju widowisko: ucieczkę trzydziestotysięcznej armji, doskonale uzbrojonych „zjadaczy bęsztyków,” przed tysiącem obdartych, znużonych żołnierzyków republikańskich i pięćset uzbrojonych w kosy powstańczych niedobitków. Nazwano ową kampanję „wyscigami pod Castlebar.” Trzeba było dopiero, by nowy wicekról i wódz naczelny Cornvallis przeprowadził nową armję, która zmusiła do kapitulacji garść szalonych junaków.

Jeszcze jedna wyprawa generała Hardy, skończyła się również smutno. Na okręcie, noszącym imię Hoche’a, pojmano najwybitniejszego z patriotów irlandzkich, niezłomnego Teobalda Wolfe Tone’a.

Zgon jego był epilogiem powstania r. 1798.

„Spalone chaty, stratowane pola, pobici ludzie”. Oto był stan kraju.

Z białego dworku w Kildare, który tyle szczęścia mieścił w sobie, śladu nie zostało, a śliczna niegdyś okolica przedstawiała „obraz spustoszenia i rozpaczy.”

\* \* \*

„Pod dachem przyjaźni” biedna Pamela po raz pierwszy od wielu dni, usnęła spokojnie: „Życie, które wiodę teraz jest ciche i, gdybym umiała zapomnieć, rzekłabym — szczęśliwe”, pisze wnet po przyjeździe do Lucy. „Moja przyjaciółka tkliwą otacza mnie czułością, a mąż jej jest również bardzo dobry. Lubię go i szanuję, bo jest to człowiek pełen cnót, a nie obnosi ich na pokaz... Nie znam już wielkich radości ale też nie odczuwam dotkliwych bólów, przestałam być wrażliwą, a kiedy zagłębię się w przeszłość, w te wspomnienia słodkich i okropnych dni, nie mogę pojąć, że mogłam to wszystko przeżyć. Ale Opatrzność w mądrości swojej przygotowała mnie zdawna na te horrory, od dawna wiedziałam, że cnota bywa zawsze uciśniona a złość triumfuje. Och droga moja, ja kocham cnotę ale miłością platoniczną, która nie daje szczęścia na tym świecie.”



W tym samym czasie pani de Genlis, dając również wyraz głębokiemu swemu rozczarowaniu, szukała pociechy w egzaltowanej pobożności. Dlaczegoż tak tkliwa niegdyś opiekunka nie otworzyła po macierzyńsku ramion by utulić nieszczęśliwą i zbolałą córkę?

To dziwaczne, w gruncie rzeczy oschłe i ambicją tylko poruszane serce ostygło już dla ubóstwianej niegdyś istoty.

Nadzieje wiązane niegdyś z jej marjażem upadły wraz z klęską Irlandji. Fantastyczna znalazła sobie teraz zabawkę nową i nowego pupila (tym razem już naprawdę tylko wychowanka!) młodego Niemczyka: muzyka.

Zajęta tem „cudownem dzieckiem” zaprosiła dość obojętnie Pamela aby przyjechała do niej do Berlina, tam bowiem za zgodą króla pruskiego obrała mieszkanie. Gdy Pamela nie przyjechała, pani de Genlis obraziła się na nią. Nie spytała jednak czy biedaczka ma pieniądze na drogę i pobyt w wielkiem mieście, mając przy sobie córeczkę i wierną parę służących: murzyna Tony z żoną i dzieckiem. Pamela nie miała ani grosza i nie spodziewała się znikąd pomocy.

„Prawdę powiedziawszy jestem przekonania, że oni nie oddadzą mi mego majątku — pisze z goryczą, — i gdyby nie dzieci, kroku bym nie zrobiła, aby odzyskać swoją własność i nie prosiłabym o nic tych, którzy zabrali mi to, czego mi oddać nie mogli!”

„Proszę tylko, żeby się pan Ogilvie do spraw moich nie mieszał.. Jestem pewna, że przyniosłoby mi nieszczęście.”

Gdy konfiskata majątku „bywszego” lorda Edwarda została zatwierdzona, rodzina Fitz Geraldów na wniosek lady Sary, postanowiła złożyć się na skromną rentę dla biednej wdowy.

Pamela dziękuje im z rozczuleniem:

„Dobrzy jesteście, że nie dajecie żonie waszego ukochanego brata żyć z jałmużny obcych ludzi — wyznaję, że ciężko by mi było stać się ciężarem Mathiessenom. Oni są dość zamożni, ale nie są bynajmniej bogaczami, z 200 funtów szterlingów, które obiecujecie mi posyłać rocznie, będę im płacić 100 za utrzymanie nasze (co nie jest wiele), a drugie sto użyję na potrzeby Pam i swoje oraz na zapłacenie pensji służących.

\*) Tak pisze warszawska „Gazeta” z sierpnia 1799 r., poświęcając wiele miejsca tej sprawie p. t. „Okoliczności irlandzkie.”

## KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU.



### PREZYDENT COOLIDGE A MODA.

Na kongresie przemysłowców włókienniczych wygłosił prezydent Coolidge przemówienie... o modzie niewieściej, krytykując ją ostro i namawiając do krucjaty przeciwko niej.

Słowa potępienia, w jakich małomówny zwykle prezydent gromił obecną modę krótkich i wyciętych sukienek, nie wynikały bynajmniej z pobudek moralnych i argumenty wysuwane nie miały nic wspólnego z hasłami „Ligi Moralności.” Prezydent Coolidge, jako człowiek praktyczny, zapatrywał się na tę sprawę z zupełnie innego punktu widzenia. Chodziło mu tylko o ilość materiału, zużytkowywanego na damską sukienkę, a ilość ta, jego zdaniem, jest „zastraszająco mała!”

„Dwadzieścia lat temu — mówił z goryczą prezydent — toaleta damska wymagała co najmniej 10 metrów materiału. Dzisiejsza zaś eleganka kupuje na suknię najwyżej 3 metry! Cóż dziwnego, że wobec takiej oszczędności upada nasz przemysł włókienniczy, a z nim razem i ogólny stan naszej gospodarki krajowej!”

Proponuje więc prezydent walkę z obecną modą krótkich sukienek drogą propagandy toalet długich, obszernych, a nawet powłóczyстых. Czy jednak propaganda ta odniesie pożądaną skuteczną? wątpić należy. Podobno amerykanki w odpowiedzi na zarzuty prezydenta postanowiły... skrócić jeszcze bardziej swoje sukienki!...

### „DZIESIĘCIORO PRZYKAZAŃ DZIECKA”.

Jedno z pism pedagogicznych angielskich ogłasza następujące „dziesięcioro przykazań dziecka dla wychowawczynie”, które uzyskały nagrodę na jednym z ostatnich zebrań Związku Pielęgniarek i Wychowawczyń, jako zawierające w krótkiej formie najważniejsze zasady higienicznego wychowania dziecka:

1. Nie całuj mnie nigdy w usta.
2. Jeśli, trzymając mnie na ręku, musisz kaszlnąć lub kichnąć, odwróć zawsze przedtem głowę.
3. Nie dawaj mi zabawek ani żadnych innych przedmiotów do ssania.

4. Nie dawaj mi do picia innej wody prócz przegotowanej i dobrze ostudzonej.

5. Nie dawaj mi do jedzenia szkodliwych rzeczy.

6. Kap mnie codziennie.

7. Zmieniaj mi bieliznę i sukienki natychmiast, gdy się tylko zabrudzą.

8. Nie kładnij mnie spać do łóżka ani ze sobą, ani z innemi dziećmi.

9. Dbaj o to, aby mój pokój był zawsze dobrze przewietrzony.

10. Pozwól mi spać jaknajwięcej na świeżem powietrzu.

Punkt ósmy tego „dekalogu” jest odbiciem stosunków lokalnych. W Anglii mianowicie bardzo rozpowszechnionym jest wysoce niehigieniczny zwyczaj kładzenia dwojga lub trojga dzieci razem do jednego dużego łóżka. Przeciwnie temu zwyczajowi protestuje słusznie zjazd pielęgniarek, a ułożenie „dekalogu” ma na celu rozpowszechnianie w przystępnej i łatwej do zapamiętania formie kardynalnych zasad higieny dla użytku matek i wychowawczyń.

### PRAKTYCZNY POMYSŁ.

Zawsze praktyczni, a przytem oryginalni w swych pomysłach Amerykanie wynaleźli nowy powód do ubezpieczenia się „od nieszczęśliwych wypadków”. Po polisach asekuracyjnych od ognia, kactwa, choroby etc. przyszła kolej na ubezpieczenie się od złej pogody!

Pomysł ten zawdzięczać należy pewnej firmie konfekcji damskiej, która chcąc zachęcić klientki do kupowania swoich towarów, ogłosiła, że do każdej kupionej sukni, czy okrycia, dołącza polisę asekuracyjną, gwarantującą odszkodowanie za zniszczenie sukni w razie deszczu. Pomysł ten zaczęły naśladować i inne firmy, i oto zabezpieczenie swych toalet od niepogody zaczyna w Ameryce stawać się zwyczajem powszechnym.

Niektóre towarzystwa ubezpieczeniowe wprowadziły t. zw. „święteczne” asekuracje, z których korzysta przeważnie ludność uboższa, pracująca przez cały tydzień po fabrykach, magazynach i t. d., a tylko w niedzielę ubierająca się odświętnie. Taka robotnica np., posiadająca jedno tylko lepsze okrycie, noszone tylko w święta, ubezpiecza je w „Insurance Company” i otrzymuje polisę asekuracyjną, opiewającą, że w razie, gdyby w niedzielę padał deszcz, będzie miała prawo do odszkodowania. Odszkodowanie to kalkuluje się bardzo ściśle według obliczeń stacyj meteorologicznych, wskazujących ilość



opadów atmosferycznych tego dnia. Podobno niektóre towarzystwa asekuracyjne wchodzą już w ścisły kontakt ze stacjami meteorologicznymi dla otrzymania naprzód przepowiedni pogody, i stosownie do tych danych podnoszą lub obniżają wysokość cotygodniowych stawek ubezpieczeniowych. Z. B.

## NIC WAŻNEGO

Pan Pieter nazначył buciarami posadzkę od przedpokoju po balkon—ze sztachety spłynęła chorągiew. A i wzdłuż chodnika naprzeciw wyrósł już żywopłocik widzów: nadęte, zgryźliwe chłopaki. Czeka ją na pochód. Czeka ją, bo muszą, bo takie jest psie prawo, żeby czasem szedł pochód, i żeby człowiek dostał w skórę za półdienne wagary.

Kucharki wychodzą z wotywy, różne zarozumiałe i wąsate majstry, panie z „inteligencji“, z podlotkami pod rękę żołnierze. I zaraz się pchają. Jak tylko zobaczyli, że chłopaki stoją nad rynsztokiem, już im nie pilno na śniadanie, ani w głowie powstała myśl, iaki to sądny dzień (przy niedzieli) wyniknie z tego opóźnienia, ile służących straci miejsce, ile żon naubliża mężom, ile będzie nieodrobionych zadań...

Pchają się. Więc chłopaki w ruch łokcie i pięty—kuksają, wierzgają, sobaczą. Stąd wściekłość u kościelnej publiki; a jeszcze przyplącze się ten i ów z amatorów pieśzszego sportu i także wścibia swoje trzy grosze. Że to przeszkadzają chodzić, że „gapie“..

Wreszcie biegnie policjant. Łapy, rzekłbyś, białe homary obleczone w zamsz, gromowładne oblicze. Gdzie nastrzyże wąsami, w żywopłocie robi się wnąka, za to słóweczka padają najgęściej. I wśród ujadania chłopaków, jazgotu kucharek i „złożyczeń“ tramwajarzy—nadpływa pochód.

Pierwszy pędzi cyklista od porządków. Macha ręką, drze się, jest bez czapki. Za nim pełźnie ochrona. Każda czwórka śpiewa inny hymn narodowy (całość przebija niebiosy), a zaskoczony tłumek milknie. Kto się miał przepchać, już zarył nogi w ziemię i trwa, kto miał nawymyślać—już sobie ulżył. Widowisko zaczęte — cisza. Za ochroną starsze dziewczynki na kijkach niosą rozpostarty aforyzm o Ojczyźnie. Potem chmura grzybiastych kapeluszy, óma gołych łydek i oszczepy, dziryty, proporce znaczone łbami co grubszego zwierza: jakaś gromada egzotyczna, ni to spieszne cow-boy'e, zresztą — poprostu skauci, przepi-

sowo zgarbieni i okropnie mili. Niejedna mama na chodniku już ma krzyknąć: „Janek, jak się masz, chłopczel!“—ale słowa wczas zostają z powrotem wtłoczone do gardła, a drużyny rysiów, dzików i lampartów przechodzą w apatycznej próżni, ujęte w szpaler złęgo humoru i dobrego tonu. Za nimi taka delegacja, inny klub i cechy, cechy bez końca. Wszystko, co jakkolwiek ma sens użytkowy w gospodarstwie, nie wyłączając gęziej wątróbki, stoi wymalowane na sztandarach i głosi chwałę narodu. No, i używają sobie pa-niusie, używają półgębkiem na mistrzach rzeźniczych i na zachłanym cenniku... Ale nie śmieje się nikt, nikt — broń Boże — nie ciśnie dowcipem, jak piłką, w nadąsaną cizbę. Polscy Sganarelle'e, Figara, Chudogęby i zgoła stateczne krawcy płyną na gorzkich falach śmieszności, nie oświetleni ani jedną iskrą humoru. Raczej już ktoś przebaczy w duchu kiepskie zelówki z całego swego życia, jednak — patrząc na sztandarową dratwę, jak się kołysze majestatycznie na złocionem drzewcu, tak samo łypać będzie okiem bez wyrazu i nie wydusi z siebie okrzyku: „Niech żyje czeladź Kilińskiego!“ Więc zawstyżeni pompą swego przemarszu, nikt w ciszy dostawcy, trefnisie i zuchy.

Nareszcie zadźwięczał bruk pod twardą stopą żołnierza. Idzie oddział — cały, jak stalowa sprężyna Karabin, hełm, karabin, hełm — tańczą najpierwszy taniec ludzki. Mniejsza z tem, że obrońcy, ..że kiedyś padną różowemi twarzami w błoto podlane krwią. Mniejsza o patos. Ale młodość, ale siła tylu napiętych mięśni, uroda żołnierskich kroków, rytm piękniejszy od pieśni torreadora, chrzęst czystych rzemieni!.. Dlaczego nikt nie zachwyca się głośno, nie krzyczy, nie śpiewa razem z wojskiem? Przecież rzadko się niesie przed oczami taki zgęszczony obłok młodości, tyle ujarzmionej mocy i przyczyzna tylu żalobnych łez... Oklaski. Owszem, czasami oklaski. Otóż doprawdy Kamiński zbiera ich więcej za lisi uśmiešek.

Widocznie po Kmicicu, Zagłobie, Reytanie i Księciu Józefie — ludziach, którzy umieli śmiać się głośno i odważnie manifestować — przyszedł w Polsce czas na „Tartuffe'a“.



Pewnie tak być musi. Ale tymczasem na szerokim naszym teatrze: na ulicy, w koszarach, w sklepie — w tym codziennym kolorowym dniu — aktorzy grają przed martwą widownią... Nikt się nie śmieje z komików i nikt łzawem okiem za kulisy nie odprowadza bohaterów.

Marja Kuncewiczowa.

## WYCHOWANIE FIZYCZNE I SPORT

PARĘ UWAG Z POWODU USTAWY O OBOWIĄZKOWYM WYCHOWANIU FIZYCZNYM I WYSZKOLENIU WOJSKOWYM

Dziwnie mały oddźwięk wzbudziło w naszych kołach kobiecych przyjęcie przez Radę Ministrów ustawy o obowiązkowym wychowaniu fizycznym i przysposobieniu wojskowym młodzieży obojga płci.

A ustawa to tak ogromnej doniosłości. Jeśli chodzi o młodzież męską, zupełnie jasno i wyraźnie określa ona jej obowiązki.

Każdy zdrowy i rozwinięty normalnie chłopak czy młodzieniec, musi przejść odpowiedni program wychowania fizycznego i szkolenia wojskowego, musi jednym słowem stać się materiałem nietylko na zdrowego, dzielnego obywatela w czasie pokoju, ale i na żołnierza na wypadek wojny.

Tego wymaga interes państwa, to jest zadaniem społecznym mężczyzny.

Ustawa o młodzieży żeńskiej jest już bardziej mglista, przedstawia się jakby niezdecydowanie.

Obowiązuje dziewczę wyćwiczenie fizyczne!

To jest jasne! Dziewczęta muszą być silne, zdrowe, dzielne.

Jest to już bardzo dużo, ale jeszcze nie wszystko! Bo czy zdrowie i uzyskana siła będą tym kapitałem, procentującym dla państwa, w okresie, gdy wszystkie jego siły muszą się wyżyć w czasie wojny?

Ta ustawa daje bardzo mało i jest ogromnie jednostronna.

Obowiązkowe szkolenie sanitarne!

Tak samo, jak nie można narzucić mężczyźnie rodzaju broni, jak nie można tembardziej żądać od niego, by był właśnie sanitariuszem, nie czem innym, tak samo nie można narzucać tego kobiecie.

Nauka higieny, pielęgnowania chorych, pomoc w nagłych wypadkach jest dla wszystkich niezbędna, szkoda, że nie wprowadzono jej równie obowiązkowo i dla chłopców.

Ale jako przysposobienia wojskowego tego szkolenia w kierunku sanitarnym uważać nie można.

Jest olbrzymi procent kobiet, które tych rzeczy nie lubią, nie znoszą widoku ran, nie mają żadnego „powołania“ na sanitariuszki. Że będą to wszystko umieć, w życiu codziennym bardzo im się przyda, ale czy będą mogły i chciały użyć swoich umiejętności dla wojska, to niewiadomo.

Zdaje mi się, że ten projekt ustawy poszedł po linii najmniejszego oporu, najłatwiej zgodzi się społeczeństwo i sejm na służbę sanitarną, jest ona taka łatwa do wytłumaczenia, taka szczytna i „kobieca“, że nikt przeciw temu nie zaoponuje.

Co do innych gałęzi służby pomocniczej, pozostawia się inicjatywę i obietnicę pomoc stowarzyszeniom społecznym.

Gdyby ta opieka i pomoc okazały się naprawdę wydajne, sprawa szkolenia dziewcząt byłaby załatwiona pomyślnie.



Krok pierwszy do obowiązkowej służby pomocniczej wojskowej dla kobiet jest bądź co bądź zrobiony.

Jeśli chodzi o sprawę samego wychowania fizycznego, to mam pewne wątpliwości, czy korzystnym dla niej będzie łączenie jej ustawowe z przysposobieniem wojskowym. Wobec braku zrozumienia, jakie powszechnie spotykamy w naszym społeczeństwie dla problemu działalności kobiet w razie wojny, łączenie wychowania fizycznego z przysposobieniem wojskowym, może poniekąd utrudnić, oddalić realizację powszechnego obowiązującego kształcenia w pierwszym kierunku; może wiele osób, nie wchodzących głębiej w te rzeczy, odstraszyć, ustawa taka może im się wydać jakąś zbyt wielką nowością, czemś obliczonym na dalszą przyszłość.

Tymczasem wszelkie programy szkolne przewidują i tak zupełnie równouprawnienie dziewcząt w nauce gimnastyki i sportów. Ta sama ilość godzin, przeznaczonych na lekcje, te same mniejszej wymagane ćwiczenia i gry, lekkoatletyka, która ma jeszcze, odnośnie do kobiet, wielu przeciwników, też jest wprowadzona w program szkolnych zawodów.

W wychowaniu więc fizycznym nie wnosi ustawa nic nowego, zaznacza tylko silniej, dobitniej, nakazuje również kategorycznie, jak np. ustawa o powszechnym nauczaniu, wprowadzenie w życie, zajęcie się istotne, poważne sprawą ćwiczeń cielesnych.

Wyodrębnią i wyróżnią je z pośród innych przedmiotów szkolnych. Dotychczas rysunki, śpiew, roboty ręczne, gimnastyka są traktowane jako jakieś lekcje pośledniego gatunku, przedmiotu drugorzędного znaczenia. Z chwilą wejścia w życie ustawy nie wolno będzie wychowania fizycznego nadal tak traktować. Uczeń czy uczennica może nie umieć rysować, lub być na tyle niemuzyczny, by nie móc uczyć się śpiewu, jednak nikomu nie wolno zaniedbywać swego zdrowia, harmonijnego rozwoju ciała, wyrobienia w sobie sprawności i dzielności fizycznej. To jest każdemu bez wyjątku, niezbędnie potrzebne, niezależnie od tego, czem się będzie w przyszłości zajmował i jakie losy życie mu przysparza. Szkoła musi dać każdemu uczniowi tę podstawę, ten niezbędny warunek dalszego rozwoju.

Wprowadzenie w praktyce obowiązkowych ćwiczeń cielesnych dla dziewcząt, wymagać będzie bardzo dużo jeszcze nakładów pracy i pieniędzy. Brak nam boisk, brak sal do ćwiczeń, brak przyrządów.

Na to, by w oczach wychowanków samych podnieść znaczenie gimnastyki, jako przedmiotu, trzeba oceny, czy też stopnie z niej, traktować również poważnie, jak i innych nauk, czy to, gdy chodzi o przejście ucznia z klasy do klasy, czy nawet przez wprowadzenie stopni z gimnastyki na świadectwie maturalnym.

Tylko wtedy możnaby uwzględnić naprawdę nie wrodzone zdolności ucznia w tym kierunku lecz postępy, jakie powinien uczynić przez dany rok szkolny niezależnie od sprawności całej klasy, gdyby wprowadzono tę doniosłą a niezbędną zdaniem moim reformę, że uczniowie gimnastykują się nie klasami lecz grupami sprawności. Wtedy tylko możnaby żądać żeby gimnastykowali się wszyscy. Dziś olbrzymi procent, dziewcząt szczególnie, jest zwalniany przez lekarzy szkolnych od ćwiczeń. I istotnie wobec tego, że tak wiele jest dziewczynek wątłych, anemicznych i t. p. trudno jest ustalić natężenie i rodzaj ćwiczeń dla całej nieraz licznej bardzo klasy.

Nie chcąc obniżać poziomu silniejszych zwalnia się słabsze, robiąc im tem wielką krzywdę.

Powinny dla takich uczennic istnieć oddzielne grupy gimnastyczne.

Drugą rzeczą, na którą położyłbym nacisk, jeśli naprawdę uznajemy za niezbędne rozpowszechnienie i pogłębienie znajomości zasad wychowania fizycznego, byłoby szczególnie dla dziewcząt zapoznanie się choćby bardzo sumaryczne z teorią wychowania fizycznego.

Niechby te zwłaszcza, które same nie ćwiczyły w szkole chociaż tych najogólniejszych wiadomości z zakresu higieny ruchu, higieny sportu, niechby nie wychodziły ze szkoły takimi „analfaberkami” w tych rzeczach.

Starsze dziewczęta zwolnione od ćwiczeń mogłyby uczyć się prowadzić gry i zabawy, a nawet łatwiejsze ćwiczenia gimnastyczne dla młodszycy.

Niestety dla ogółu kobiet naszych lat szkolne są jedynym okresem ćwiczeń cielesnych, wyszedłszy ze szkoły zapominają o nich bardzo szybko, nie mają często czasu, a zwykle nie czują wprost potrzeby kontynuować nadal swoje w tym kierunku wykształcenie, niechby choć wyniosły ze szkoły na tyle obznajmienia i zrozumienia tych rzeczy, żeby potrafić nadać odpowiedni kierunek wycbowaniu dzieci swoich.

Częściowe rozszerzenie ustawy na uczelnie wyższe ma też niesłychanie doniosłe znaczenie. Przekroczenie progu szkoły wyższej, gdy nagle młoda dziewczyna staje sama wypuszczona z pod bardzo, może często zanadto troskliwej i dokładnej opieki wychowawczyń szkoły średniej, sama bez kierunku prawie wobec zagadnienia wyboru fachu, wobec możliwości stanła się takim lub innym typem kobiety, jest chwilą kiedy zdrowy, uspakajający nerwy, wyrabiający tężyznę i prostotę, wpływ sportów może jej dać dużo dobrego, może bardzo zaważyć na szali dalszego rozwoju.

Tymczasem cóż się dzieje? Porywa ją zwykle wir zabaw dozwolonych od tej chwili lub najwyżej jałowych sporów politycznych.

Ułatwienie, żeńskiej młodzieży akademickiej uprawiania ćwiczeń cielesnych, zakreszenie pewnego ogólnego programu jej pracy w tym kierunku, ujęcie jej w ręce przez stowarzyszenia społeczne jak Komitet Przysposobienia Wojskowego, Koło Polek, organizacje strzeleckie czy harcerskie byłoby ogromnie doniosłym czynnikiem poprawy stosunków uniwersyteckich, które tak lekko i często krytykujemy. A dla wszystkich tych usiłowań odpowiednio poparcie i w praktyce zrozumienie i życzliwy stosunek czynników rządowych. I F.

## Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Nakładem firmy wydawniczej „Książnica—Atlas,” wyszły z druku dzieła treści następującej:

*Dr. a Henryka Hilorowicza* „Pierwsza pomoc w nagłych wypadkach,” *Dr. St. Progułskiego* „Higiena niemowląt” oraz zeszyt I cz. II „Podręcznika chorób zakaźnych,” jednego z tomów „Wydawnictw Lekarskich,” wychodzących pod redakcją *Dr. Sterling-Okantewskiego*.

Ukazał się ponadto nakładem tejże firmy cały szereg podręczników szkolnych i naukowych, jako to: *E. Tenczyna* „Wybór ćwiczeń chemicznych,” *H. Grotowskiej* „O poznawaniu kraju,” *Dr. A. Kozłowskiej* „Pogadanki o roślinach i glebie.” *Dr. A. Bednarowskiego* „Wybór z dzieł Ksenofonta,” *St. Pawłowskiego* „Geografia dla szkół powszechnych,” *Pawłowskiego i Janellego* „Polska współczesna,” *I. Strycharskiego* „Komentarz do wybranych utworów Horacjusza” (cz. I-sza), *T. Starzputowskiego i Klebanowskiego* „Wskazówki metodyczne

do elementarza rachunkowego,” *J. Mibulowicza* „Arytmetyka i algebra,” cz. I-sza, *Cz. Nonkego* „Historja nowożytna” (cz. 2 zeszyt. 1-szy), *L. Jaxa-Bykowskiego* „Podręcznik do zajęć praktycznych z dziedziny psychologii” wraz ze „Wskazówkami metodycznymi” do tych zajęć.

Zbiór podręczników do nauki języków obcych zawiera wydawnictwa najcenniejszych utworów literatury w opracowaniach: *K. Zagajewskiego* („Die Karawane” Hauff’a), *St. Gayczaka* („Minna v. Barnhelm” Lessinga), *E. Roszki* („Die Sigurdssage” i „Krambambuli”). *J. Jakóbiec* wydał 1 część książki niemieckiej „Das Deutschtum,” *J. Szarota* „Les provinces françaises, cinquième livre de français.”

Firma wydawnicza „Gebethner i Wolff” wydaje cały szereg dzieł wybitnych autorów o bardzo zajmującej treści:

*Zdzisław Dębicki* w niedawno wydanej pracy p. t. „Wł. St. Reymont” — Laureat Nobla, kreśli charakterystykę Reymonta, jako twórcy, z wielką wnikliwością wydobytą na jaw znamienne jego cechy. Książka Dębickiego ułatwia nie tylko zrozumienie, ale i odczucie Reymonta.

Senator Stanisław Posner przetłumaczył z upoważnienia autora „Pierwsze wiadomości z ekonomji politycznej” *Karola Gide’a*. Praca ta rozpada się na 7 rozdziałów: Potrzeby i praca; Wymiana i wartość; Pieniądz; Własność i spadkobranie; Dzierżawa i pożyczka procentowa; Praca najemna i zysk; Współzawodnictwo i współdziałanie.

„W pustyniach Raskemu i Tybetu,” trzeci, a zarazem ostatni tom „Podróży” gen. *Bronisława Grabczewskiego* stanowi, tak jak i oba poprzednie tomy, niewyczerpaną skarbnicę wiadomości geograficznych, etnograficznych, zoologicznych i botanicznych o prawie zupełnie nieznanych w Europie krainach azjatyckich. Również i w tym tomie czytelnik znajdzie mnóstwo ciekawych szczegółów, oświetlających stosunki społeczne, polityczne i dyplomatyczne w okręgu ściągających się do dziś dnia interesów Anglii i Rosji. Książkę zdobia oryginalne zdjęcia fotograficzne w ilości 35-ciu.

„Studia Historyczne” *Władysława Smoleńskiego* stanowią tom IV ty jego „Pism historycznych.” Obejmują one znaczną ilość prac, ogłaszanych drukiem w ostatnim 25-leciu w czasopiśmie i publikacjach zbiorowych. Treść „Studjów” jest różnorodna, przymtem zawsze oparta na skrupulatnych poszukiwaniach źródłowych.

Ukazało się dzieło historyczne, którego treścią jest przygotowanie i początek powstania listopadowego, zagadnienia dziejowe do tej chwili przez naukę historii traktowane pobieżnie, ze względu na brak dostępu do źródeł archiwalnych, pozostających w rękach zaborcy. Jest nią praca prof. dr. *Wacława Tokarza* p. t. „Sprzysiężenie Wysockiego i noc listopadowa.” Część pierwsza książki poświęcona jest genezie, rozwojowi i dziejom sprzysiężenia, w części drugiej zaś autor przesuwa przed oczyma czytelnika wszystkie momenty tragicznej nocy listopadowej. Książka napisana nader starannie, źródłowo, wydana pięknie, ozdobiona mało znanymi dotychczas rycinami.

Prof. *Józef Ujejski* w pracy swej p. t. „O cenę absolutu — Rzecz o Hoene Wrońskim” zajmuje się tajemniczą, zgoła niesamowitą sprawą „sprzedaży absolutu” przez znakomitego filozofa Piotrowa Józefowi Arsenowi, kapitaliście z Nicei, oraz sporem, który wynikł na tle niewiarogodnej tranzakcji, — sporem przedewszystkiem o wartość moralną obu kontrahentów. Książka prof. Ujejskiego rzuca charakterystyczne światło na życie i działalność Józefa Hoene-Wrońskiego, do tej porę zbyt może jednostronnie przez naukę ocenione.



## BUKIET Z MUSZELEK

Dzisiejsza sztuka dekoracyjna pozwala na najśmielsze pomysły, otwierając szerokie pole inicjatywie osobistej. Jednym z takich, oryginalnością przewyższających inne, pomysłów, są gałązki naśladowujące egzotyczne kwiaty, zrobione z muszli ślimaków japońskich, odznaczających się ładnie mieniącymi kolorami. To samo można wykonać i z naszych skromnych rzecz-



wać na gałązce, tak aby naśladowały kwiaty i listki. Miejsca gdzie się owija drucik o gałązkę nakryć cienkim paseczkiem brązowej bibułki lub lakiem brązowym. Można przed [składaniem gałązek położyć lub posrebrzyć muszle, albo pociągnąć je tylko bezbarwnym lakierem z wierzchu, a środki wyłocić.

Ładniejsze są stanowczo naturalne. Zgrabnie dobrane i ułożone, śli-

nych i morskich muszelek — uważając tylko żeby każda gałązka

uformowana była z jednakowych muszelek. Zgrabną gałązkę bez liści ubiera się muszlami w sposób następujący przygotowanymi: dobrze wymyte i oczyszczone muszle poprzekłówać u dołu, tak aby ich nie połamać. Dla ułatwienia tej roboty dobrze jest położyć muszelkę stroną wypukłą na miedkiem, grubym suknie i bardzo ostrym i cienkim rylcem ostrożnie wykrocić dziureczkę. Dla ułatwienia tej roboty można namoczyć muszle w ukropie z dodaniem 50% amoniaku. W zrobione dziureczki przeciągnąć cieniutki 5 ctm. długi drucik, umocować go, owijając naokoło siebie. Zwrócone do siebie muszle umoco-

cznie zdobią wazony zwłaszcza w zimie, kiedy brak świeżych kwiatów.





## LIST Z PARYŻA

Przypuszczam, że szanowne moje czytelniczki wróciły już do stałych siedzib po rozkoszach letnich wywczaśów. Jestem pewną, że wzdychają pocichu do pięknych przeszłych chwil, do światła i słońca, do zabaw na świeżym powietrzu. Wszystko to należy na razie do przeszłości i cały długi rok przejdzie, zanim będzie można wrócić do tych niezrównanych wrażeń letniego sezonu.

A tymczasem z lekkim smutkiem w duszy, Pani błąka się po opuszczonym i zimnym jeszcze mieszkaniu. „Home” jak reszta, jest jedynie kwestją przyzwyczajenia. Opuściwszy mieszkanie przed dwoma miesiącami, uczucie obcości ma się zawsze przez parę pierwszych dni po powrocie.

I jakkolwiek służba przygotowała wszystko, co było w jej mocy na przyjazd Pani, brak tu na każdym kroku wykończenia: ulubione cacka jeszcze pod kluczem, dywany poważnie zwinięte w rulony, jeszcze nie opuściły miejsca przechowania.

Poza temi drobnymi przykrościami, kryje się coś bardziej ciekawego, co przytłacza ciężarem swoim duszę i umysł Pani. Oddaje się cała tej jednej myśli: co tu włożyć na siebie, jak załatwić palącą kwestję toalety? Przechodzi przez prawdziwe ognie wątpliwości i wpadłaby napewno w przygnębienie, gdyby nagle szczęśliwa myśl nie oświetliła zmęczonej i znudzonej



Rys. 2



Rys. 1

twarzy. A gdybym tak, zamiast czekać i myśleć, poszła obejrzeć najświeższą kolekcję x... a na Polach Elizejskich. Bo przecież oczekiwanie nie prowadzi do celu, a trudno wymagać, żeby po powrocie z letniska odwiedzać znajomych i przyjaciół w sukniach z ubiegłego sezonu. Przyznajmy w cichości ducha, że Pani nie jest już na wysokości zadania. Nieobecność jej w Paryżu przez dwa miesiące była zupełnie wystarczającą, żeby stracić kontakt ze światem Mody. Suknie proste i obcisłe z paskiem podróżującym od bioder do kolan, — to już stara piosenka. Suknia obecna jest bardzo wyszukana pod względem kroju i detali. Zwłaszcza dół złożony z wycięć geometrycznych w lekko spadające ukosy (godets), jednym słowem suknia jest na tyle skomplikowana, że wykluczone są brykować ją o własnych siłach. — Żeby otrzymać coś, co będzie godne dzisiejszych wymagań, trzeba już specjalizacji, którą jedynie może osiągnąć zawodowy salon mód.

Przenieśmy się wraz z Panią do sławnego „couturier” na Polach Elizejskich.

Podniecona z góry, Pani ogląda, wybiera, przymierza i omawia ceny z „vendeuse”:

„Doprawdy, proszę Pani, dla takiej starej, jak ja klientki...” Nareszcie zgoda, wybór szczęśliwie zrobiony.

A więc przedewszystkiem „ensemble” palto i suknia — niezbędne dla każdej eleganckiej kobiety. Wybrany przez Panią „ensemble” jest

z sukna „parme” (fioletowo-szary). Suknia z długimi rękawami i małym kołnierzem „claudine” ma grupę kloszy na przodzie, spiętą srebrnym motywem (rys. 1).

Okrycie z licznymi również kloszami, jest bogato przybrane szaremi królikami.

Oczywiście, że całość ta służy tylko na ranne spacerunki po Lasku, do magazynów, a nawet i na skromną herbatkę. — Natomiast do bardziej oficjalnych okazji, jak prozowne śniadanie, czy też jakaś tam „vente de charité”, należy już włożyć coś zupełnie innego. — I jest właśnie przyniesiona suknia z czarnego „crêpe marocain”, przybrana niebieskim o zupełnie nowej orientalnej inspiracji. Prosta kamizelka tworzy w górze mały chiński kołnierzyk. Czarne trójkąty otaczają spód niebieski haftowany złotem (rys. 2). Najciekawsze są rękawy. Długie we wszystkich modelach nawet najbogatszych, najbardziej wyszukanych. Tylko wyjątek z tego ogólnego prawa stanowią suknie wieczorowe.

A propos sukni wieczorowej. Pani się orientuje w ostatniej chwili, bo jakże tu obejść się bez niej wobec zapowiedzianej serji przyjęć i obiadów.

Pani nerwowym ruchem zwraca się do Vendeuse’y: „zobaczmy ileż to wyniesie ogólnie?... Ze wszystkich widzianych tu cudów, wybór jej pada na suknię, może najprostszą. Na spodzie z jedwabnego różowego aksamitu, tunika z czarnego grubego atlasu drapuje fi-



Rys. 3



gurę i spada w ciężkie liczne klo-  
sze. Przepyszny brylantowy motyw  
służy do spięcia w talji i nic więcej...  
(rys. 3) ale efekt osiągnięty w ten  
sposób nie może w żadnej kombi-  
nacji być bardziej artystyczny, czy

bardziej dystyngowany. Szczęś-  
liwym zbiegiem okoliczności model  
ten jest zupełnie, jakgdyby zrobiony  
na miarę Pani, i dostaje się jej  
odrazu, wbrew zwyczajowi.

Na Panią czeka auto. — Już

jedzie do domu, ściskając mocno,  
jak dziecko, drogocenną paczkę. —  
Oczy pełne blasku, policzki w ogniu,  
szczęśliwa szczęściem, które przez  
chwil parę zalewa całą duszę ko-  
biety. — nowa suknia. *Sekw*

## JAK PODRÓŻOWANO ZA CZASÓW NAPOLEOŃSKICH

Niemiecka polityka drogowa. Napoleon i szosy. Plaga celna. Pasporty i wizy. Dwa miesiące z Berlina do Rzymu. Piękne panie w spodeńkach. Modne bady. Brud i gry hazardowe. Jak to pradziadek jeździł do Karlsbadu.

Podróże, jedną z najszlachetniej-  
szych, najbardziej fascynujących  
rozrywek epoki naszej, w w. XVIII  
można było zaliczyć do największych  
udręczeń, dla tych, co cenią poś-  
piech i wygodę, a nie lubią ulegać  
zmiennemu czarowi przygód.

W drogę jechał ten, co musiał,  
jak na wojnę. W Niemczech uwa-  
żano, że obowiązkiem roztropnych  
i przewidujących obywateli jest  
utrzymywać gościńce w stanie jak-  
najgorszym, bo dzięki takiej polity-  
ce drogowej, miejscowa ludność  
będzie siedziała w domu i zaoszczędzi  
pieniądze, które mogłaby wydać  
na podróże, a przyjezdni muszą  
zostawić niezły haracz za po-  
pasy, podwozy oraz naprawę ekwi-  
paży.

Dopiero Napoleon pobudował  
wszędzie piękne szosy dla prze-  
marszu wojsk, ale niestety, ulegały  
one szybkiej destrukcji wskutek  
ustawicznych przejazdów artylerji  
i ciężkich taborów. Mimowolnie  
nasuwa się tu analogja do szos ro-  
syjskich, które podczas wielkiej  
wojny europejskiej po każdym prze-  
jeździe ciężkich dział rosływały  
się miękko na dwie strony, jak  
masło.

W literaturze skargi na rozpa-  
czliwy stan dróg są stałym obja-  
wem, a fantastyczne opowieści  
o przypadkach w podró-  
ży rzeczą zupełnie natu-  
ralną i zgodną z rzeczy-  
wistością.

Kotzebue w ciągu ca-  
łej swej podróży od In-  
flant do Neapolu nie  
przestaje biadać nad  
opłakany stanem poczt.  
Wszystko jedno czy je-  
dzie królowa Luiza z Kró-  
lewca do Warszawy, czy  
Bettina w towarzystwie  
Lulu Jordis z Kassel do  
Berlina, czy Humboldt z  
Rzymu do Neapolu—każ-  
dy z nich nie jest pewny  
dnia ani godziny i po do-

brnięciu do celu podróży może dzie-  
kować Bogu, że się skończyło na  
wywróceniu, a nie na śmierci lub  
kalectwie.

Książę Karol Ludwik Badeński  
postradał życie 16-go grudnia 1810 r.  
pod Arbogo w Szwecji wskutek nie-  
szczęśliwego wypadnięcia z powo-  
zu, a iluż fatalnym przygodom ule-  
gali zwykli śmiertelnicy, o czym  
milczą dyskretnie kroniki ówczesne.

Tylko Anglja i pod tym wzglę-  
dem była wyjątkiem, i kto raz po-  
znał jej drogi, nie mógł już pogo-  
dzić się z wybojami na kontynen-  
cie. Gościńce Albionu były dopro-  
wadzone do takiej doskonałości,  
że Campe, który jechał z Yarmouth  
do Londynu, skarży się na zbytnią  
szybkość jazdy, która uniemożliwi-  
ła mu rozejrzenie się po okolicy.

Jeszcze jedna udręka groziła wę-  
drowcowi na kontynencie, a tą by-  
ły cła i myta bez końca i miary.  
Na Elbie tylko od Drezna do Mag-  
deburga było 16 komór celnych, na  
Renie 32, na Wezerze pomiędzy  
Minden a Bremą 22.

Kiedy Ferdynand Grimm w 1812  
roku chciał się przedostać z Kassel  
do Monachjum, musiał w Norym-  
berdze zmitrężyć cały tydzień, gdyż  
jego paszport nie miał wizy posła  
bawarskiego w Kassel. Pasporty  
braci Riepenhausen, którzy jechali

z Getyngi do Rzymu w 1802 r.,  
były opatrzone 20 wizami, które  
trzeba było zdobywać po drodze  
z niesłychanemi kosztami i tru-  
dem. Okropne drogi wydłużały  
każdą podróż w nieskończoność.

Z Berlina do Rzymu trzeba było  
jechać dwa miesiące. Pakunek na  
odbycie tej samej drogi zużywał  
rok cały! Z Wiednia do Rzymu  
jechało się miesiąc. Ale Wilhelm  
Grimm w r. 1816 w cztery dni prze-  
był drogę między Kassel a Lip-  
skiem. Reichardt chlubi się, że  
w 1802 roku przybył z Frankfurtu  
do Paryża również w cztery dni.  
Kosztowała go ta przyjemność 185  
talarów. Jeżeli do fatalnego stanu  
dróg dodamy jeszcze ohydę zajaz-  
dów i niebezpieczeństwo, grożące  
na każdym kroku od złoczyńców,  
to będziemy mieli obraz całkowi-  
ty tych rozkoszy, których mu-  
siało zakosztować ten, co zamiast  
w domu wylegiwać się pod pierzy-  
ną, gnał w świat dosłownie na  
złamanie karku. Dodać należy, że  
karki ówczesne nie były ani odro-  
binę wytrzymalsze od dzisiejszych.

I niewiasty wobec tych trudów  
podróży zazwyczaj przywdziewały  
strój męski. Niejedna „merveil-  
leuse'a" empiru przedzierzgnąć się  
musiała w „hajduczka", choć na-  
pewno nie znała przygód nieśmier-  
telnej Bałki Sienkiewi-  
czowskiej. Piękna awan-  
turnica, M-me Gochet,  
prototyp „Naturalnej Cór-  
ki" Goetego, wiecznie wę-  
drująca, rzadko ukazywa-  
ła się w stroju, płci swo-  
jej właściwym; Bettina i  
Lulu Jordis podróżują ja-  
ko mężczyźni, a Hum-  
boldtowie podczas podró-  
ży do Rzymu każą czte-  
rem swoim córeczkom  
przywdziać spodeńki.

Rzadkością w owych  
czasach jest wzmianka o  
wojażu dla przyjemności.  
Piękne okolice pozostają





długo nieznanymi nawet dla najbliższych sąsiadów. Karol Juljusz Weber, który przebiegł całe Niemcy od brzegu do brzegu, z podziwem po raz pierwszy w 1805 r. usłyszał o urokach Salzkammergut.

W wyjątkowych wypadkach jeżdżono do wód. Modnymi kurortami były Pymont i Karlsbad, w r. 1803 zaczął się cieszyć powodzeniem Norderney. Rozkaz gabinetu z roku 1799 zabraniał poddanym pruskim korzystać z obcych ba-

dów. W końcu XVIII w. skarżą się wszyscy jednym głosem na brudy i drożyznę w Pymontcie, na niedbalstwo służby, na wadliwe leczenie. Kursal oświetlano tylko wtedy, gdy znalazł się gość, co zapłacił za świece.



Zato gra hazardowna kwitła w najlepsze zarówno wśród przyjezdnych jak i wśród miejscowych.

Do czego doprowadzić mogła zgubna namiętność, świadczy fakt, że w 1812 r. w Pymontcie pewien służący zamordował Bogu ducha winnego chłopca tylko poto, żeby

mu obciąć palec, który rzekomo miał mu przynieść szczęście w grze.

Biedni kuracjusze radzili sobie, jak mogli. Trudno się dziwić, że po trudach podróży i po takiej pokucie, jaką musiały być kąpiele i zabiegi zdrowotne przy ówczesnym niechlujstwie i pierwotności urządzeń, pocieszali się grą w karty.

Żyje jeszcze w wielu naszych rodzinach szlacheckich tradycja podróży własnymi końmi i karetą do Karlsbadu, wspomnienie o pradziadku, co pod poduszką w oberży niemieckiej zostawił portfel wypchany sumą, osiągniętą ze sprzedaży całorocznych zbiorów. Nie wieleśmy się zmienili od onych czasów i my i drogi nasze!

Spero

## B U D U A R

Ce temple fastueux que l'on nomme boudoir  
Au dedans on respire une molle richesse  
Glaces, tableaux, sofa, tout parle de ten-  
[dresse  
Tout peint la volupté, tout invite au plaisir...  
(Tableau de Paris).

W wiekach średnich kasztelanki, szukając odosobnienia, chroniły się do swych kapliczek, pragnąc oddać się samotności i spędzić chwile w nabożnym skupieniu. Z biegiem czasu obok kapliczek powstały pełne powagi pokoje, w których sprzętem najważniejszym — symbolem królującym — był klęcznik. W wiekach średnich nie wiedzano, co to jest mieszkanie we współczesnym znaczeniu tego słowa, które dziś pojmujemy jako szereg pokoi, tworzących całość. Dopiero w wieku XVII pani de Rambouillet, polecając umieścić schody w końcu swego pałacu, stworzyła rozkład pokoi, biegnących w amfiladzie. Chroniąc się od przeciągów, spowodowanych źle zamykającymi się drzwiami, uciekając przed zimnem, panującym w dużych komnatach z powodu wadliwie działających kominków — słynna markiza de Rambouillet przyjmowała swych gości w tak zwanej „ruelle“.

Przestrzeń ta pomiędzy ścianą, a łóżkiem zmieniła w czasach późniejszych swą nazwę na alkowę<sup>1)</sup>, a w XVII i na początku XVIII wieku stanowiła część dużej komnaty, oddzielonej od części pokoju kolumnami i poczęści balustradą. Alkowa, urządzona z wielkim prze-

pychem, była miejscem rendez-vous eleganckiego świata, gdzie odwiedzający się nawzajem wykwintnie opowiadali sobie najnowsze wydarzenia lub ważne nowiny polityczne, a damy, przybrawszy miano alkowistek, zabawiały się ploteczkami. Etykieta, rządząca wszędzie, zaopiekowała się i temi przyjęciami, krępując ich swobodę. Zmieniało garnitury łóżek stosownie do pory roku, studjowano specjalnie kodeks światowy, dający wskazówki, jak należy się zachowywać podczas tych przyjęć, leżąc w łóżku.

Tylko uprzywilejowani goście mogli przekroczyć balustradę i otaczać kołem łoża, dotykające tylko wezglowiem ściany. Z powodu braku sprzętów do siedzenia służących, zwyczaj siadania na łóżku nie był oznaką złego wychowania. Bosse w swoich rycinach unaoczniła nam niejedną taką przemiłą scenkę w zacisznej alkowie. Zimna wspaniałość znużyła ówczesnych wytworników, — sprzykrzyły się duże sale recepcyjne. Solenność — zasada panowania „Króla Słońca“ — ustępuje miejsca jedynej trosce o przytulne wnętrza. W drugiej połowie XVIII wieku pokoje się zmniejszają. Alkowa przestaje być miejscem przyjęć, a pozostaje tylko sanktuarjum intymniejszym, gdzie berło dźierży bóg Amor.

<sup>1)</sup> Wyraz Alkowa pochodzi od hiszpańskiego wyrazu alcoba, zapożyczonego z arabskiego al Koba i oznacza namiot, gdzie się śpi lub odpoczywa.

Powstaje buduar przepojony urokiem i nieznanym dotychczas powabem, — wynalazek XVIII wieku, inowacja epoki pełnej kokieteryj i eleganckiej korupcji, zwanej — Regencją.

Wpływy fiamandzkie, hiszpańskie, holenderskie i niemieckie ustępują miejsca królującemu artyzmowi Francji, która w XVIII wieku, przodując ówczesnej Europie, doprowadziła sztukę ozdobnego sprzętarstwa do najwyższego rozkwitu, wywalczywszy sobie zaszczytne miejsce w stolarszczyźnie. Sprzęty w drugiej połowie XVIII wieku zmieniają zasadniczy wygląd. Uwzględniając w pierwszym rzędzie wygodę i łącząc z nią kokieteryjną lekkość, społeczeństwo o kobieco — miękkiej kulturze, nie uznaje monumentalnych sprzętów epoki Ludwika XIV. Wiejące chłodem marmury, zrodzone pod innym niebem, nie nadawały się, jako dekoracja ścienna, do przytulnych buduarów. Rzeźbione ozdoby ścienne, okryte subtelną szatą złocień, odbijając się od jasnego tła lekkich tkanin, tworzyły godną ramę do malarstwa dekoracyjnego — głównej ozdoby ścian w epoce Regencji. Stosując sprzęty do odmiennego otoczenia, niszczone bezlitośnie sprzęty epok poprzednich. Ludwik XV, budując w roku 1734 małe apartamenty dookoła Podwórza Marmurowego, każe burzyć prywatne pokoje Ludwika XIV, a „Petits Cabinets de la Reine“ zostały przerobione dla



Marji Leszczyńskiej. Wskutek tych przeróbek uległo zniszczeniu wiele cennych zabytków, które Ludwik XIV, rozmiłowany w pięknie, tak szczególną otaczał opieką. Dziwnymi nam się wydają oznaki takiego barbarzyństwa właśnie w epoce, w której sprzęt był tak wysoko ceniony. Monarchowie, składając sobie nawzajem dary, przesyłali z jednego dworu na drugi najwyszukańsze okazy rodzimych wyrobów sprzętarstwa. Nie daje się to pogodzić z niszczycielską manją tych samych władców. Brak pietyzmu Ludwika XV dla zabytków przeszłości znalazł naśladowców we wszystkich sferach społeczeństwa. Pod nakazem wszechpotężnej mody powstają nowe sprzęty—łączące wykwiintną grację z pełną komfortu wygodą—nadającą się bardziej do życia towarzyskiego, przytulnego zbliżenia i intymnego sam na sam. Kształt, ruch i kierunek linii jest dokładnie obmyślony, rozważony najdrobniejszy szczegół, obliczony każdy efekt. Wykwintne damy rysowały same nieraz wzory do sprzętów lub zwinnymi paluszkami wykonywały stylowe hafty, które odegrywały wybitną rolę w tkaninach meblowych. Wyrafinowana kultura epoki Ludwika XV, ukochawszy ponad wszystko wygodę, jest epoką rozkwitu mebli, nadających się do póź współczesnych. Szezlongi, markizy, berżery, otomany, sofy, gondole o najróżniejszych sylwetkach i miękkiej, pięściwej linii, wykonane przez Boulard'a, nadawały się do kuszących szeptów i słodkich omamień. Poręcze foteli, chcąc wygodnie utulić strojne w bufiaste suknie damy, cofają się w tył i rozszerzając się z nakazu swego twórcy Dupain'a uginają w znak kurtuazji swe nogi. Zaplecki krzesel obniżają się i zaokrąglają, aby nie psuć piętrzących się na kształtnych główkach olbrzymich peruk. Dla wygody rzucono na wyplatane z trzciny siedzenia mięciuchne poduszki, kryte ceną, wschodnią tkaniną, dostrajające się gamą swych tonów do kwiatnych kołbi.

Biurko już nie jest dużym stołem do pracy. Zamienia się na biurko cylindryczne, jakiem było królewskie biurko Oebena i Riesenera, które w każdej chwili zasunąć można przed niedyskretnymi spojrzzeniami bliźnich. Równoległe z rozwojem ruchu umysłowego i rozkwitem wykwiintnej mowy—stają się modne zaięcia intelektualne, biurko jest sprzętem niezbędnym w buduarze wytwornej damy, budzącej nieraz podziw subtelnością umysłu. Biureczko przez kokieteryjność ozdobione lusterkiem, nosi

nazwę „bonheur du jour“. Frywolna pani, chcąc uchronić przed niepożądaną kontrolą wonne billets doux, wymyśla sprzącik, zaopatrzony w niezliczoną ilość tajemnych skrytek i piętrzących się jedna nad drugą szufladek, zwany szyfonierką, doskonale się nadający do umieszczenia przepojonych wspomnieniami—misternych gracików. Niezliczona ilość barwnych fatałaszków wykwiintnej strojności z trudem pomieścić się może w rozdympających się i zaokrąglających się dowolnie powyginanych komodach, lakierowanych a la Vernis Martin. Sprzętami charakterystycznymi dla tej epoki, nie znoszącej linii prostej, są narożniki, umieszczone w kątach pokoi i przystrojone laską chińską. Wielbiciele linii falującej zaokrąglają lub pogłębiają kanty stołów, a na pokrycie wierzchniej płaszczyzny sprowadzono bezcenne marmury. Na okrągłych stolikach, ozdobionych robotą wykładaną ryłca Delorme stoją kadzielnice, z których smugi wonności rozchodzą się na wszystkie strony. Szafkowy zegar z kurantami pełen pikantnych niespodzianek, wygrywa co kwadrans przemiłe melodie. Pudło od zegara przyozdobił złocistymi bronzami Duhamel—misternie namalowane markizy pędzla Martin'a nieuchwytnym czarem owiane, wirują, zda się, w takt skocznych tonów.

Bujna fantazja Caumont'a specjalnie uwydatnia się w złożonych konsolach, ustawionych przy ścianie pod lustrami. Wytworzone te sprzęty—dzieła Toro i Ippenord'a, przystrojone wielką ilością motywów roślinnych, wijących się wśród smoków i zwieszających się w zawitych splotach na ślimacznice, tworzyły oparcie dolne. Przepyszne ekrany, tak często zastosowane w poprzedniej epoce, tracą z powodu mniejszej objętości kominka swoją rację bytu. Pomysłowi stolarze zaopatrywali je nieraz w stoliki, pulpity i szufladki. Pokrewny ekranowi parawan, często wspomniany przez ówczesnych pisarzy, bohater niejednej sytuacji—był przedmiotem starań najprzedniejszych mistrzów, jak Audrian, Watteau, Desportes i Oudry, a warsztaty Gobelin, Beauvais i Savonnerie rywalizowały z malarzami przy ozdabianiu tego misternego sprzętu. Ludwik XV, założyciel fabryki porcelany „Manufacture de porcelaine de France“, popierając swoje wyroby, polecił Avril'owi oz-

dabiać sprzęty plakietami porcelanowymi, unaoczniającymi barwne bukiety, obramione turkusowym błękitem. Pod wpływem dekoracji chińskiej śmiałość form stawała się coraz bardziej wybujałą. Barok dąży do olśnienia. Linje zatracają wszelką logikę kształtu, a prawa logiki zastąpiła zasada malowniczości. Bronzowe ozdoby na sprzętach są czysto dekoracyjne, nie liczą się z konstrukcją i linjami mebla. Wspinają się w coraz kapryśniejszych splotach, wiążą się najniespodziewaniej w bukiety, zaokrąglając się na rogach, biegną dalej, rozdzielając się na pojedyncze girlandy. Z biegiem czasu barok ustępuje miejsca stylowi rokoko, który kombinacjami ozdób dyskretniejszymi, jakby od niechcenia rzuconymi, wywołuje malownicze wrażenie. Tyle jest werwy w sprzętach w stylu Caffieri'ego, jego nieodścięziony rylec jest tak delikatny i pomysłowy, iż podziwiamy swobodną ornamentykę, w której dominuje motyw jarzyn, palmowych gałązek i fantastycznych muszli, i wybaczymy chętnie natłoczenie ozdób, wywołujące wrażenie przeładowania. Ludzie o wykwiintnym smaku z lękiem jednak spoglądają musieli na ten zupełny zanik prostoty. Przeraziła bogactwo motywów w szkicach Meissonier lub Slodtz'ów, wytryskające z żywiołową siłą, połączone z nieokiełzaną bujnością. Rysownik, idąc śladem nakazów fantazji swoich klientów, nie zawsze umiał stworzyć idealny typ sprzętu, zadawalniający pojęcie piękna. Konstrukcja tych niezwykle śmiałych kreacji częstokroć nie była jasną, a przesadne bogactwo wyszukanych kombinacji, wydaje się być wytworem frywolnego kaprysu. Unaocznia charakter tej lekkomyślnej epoki wycinanie z drogocennych książek rycin, które dla odmiany ozdabiano sprzęty. Dzieła zaś Cressent to istne cacka, ozdobione wzorzystą—niczem tkaniną wschodu—barwną szachownicą, ułożoną z różanego, amarantowego i fiołkowego drzewa. Z lubością wzrok się zatrzymuje na innym meblu unaoczniającym cały obraz wykonany z odmiennie ubarwionych deseczek, na wzór malarstwa stalugowego, który powstał pod wpływem żmudnych prac włoskich mnichów z epoki Quattrocento. Gdy wzrok wrócimy ku drzwiom, uwagę naszą pochłonięta chińczyw i tańczące zwierzęta pędzla Huet'a. Buduar, drgający wyrafinowanym urokiem piękna zmysłowego—to godne tło dla grzesznych marzeń, zabezpieczony był jedwabnymi tkaninami przed niedyskretnym światłem dnia, a wieczorem bywał subtelnie oświetlony.





Ówczesne społeczeństwo, dla którego słynny dekorator Pineau wykonywał tyle czarownych wnętrz, umiało wyzyskać grę światła i cieni. Świecznik przestaje być, jak wlepoce poprzedniej, luksusem królewskim, staje się dostępnym i dla innych warstw społeczeństwa. Wiek XVIII — to rozkwit najróżnorodniejszych świeczników, zwieszających się z jasnych pułapów. Margrabianki na pająkach z porcelany rozmawiają szeptem z innymi porcela-

nowymi figuynkami z ram luster i uśmiechają się filuternie do dziwnego potworka Magotama, który kiwając się bezustannie, jako symbol ówczesnego życia i zwyczajów, króluje na kominku. Słyszemy zda się tony instrumentów, poruszanych delikatnymi palcami, ozdobione wesołemi



kompozycjami Gilloł'a. W końcu panowania Ludwika XV odczuwa się już w linjach sprzętów Levasseur'a zbliżającą się reakcję. Linje stają się spokojniejsze, fantazja zdobnicza ujęta w pewne karby. Wszecpotężny wpływ Madame Pompadour, rozciągnawszy się na wszystkie dziedziny, zapoczątkował ten nowy kierunek, który, jak dowcipnie wyraża się Courajod, był przez konwenans nazwany stylem „à la Reine”. *Emilja Szenwicowa*

## Z DZIEDZINY KOSMETYKI

(ciąg dalszy)

Czy używać pudru i jakiego rodzaju? Są to również bardzo ważne pytania.

Znaczenie pudru jest dwojakie: kosmetyczne, zakrywające plamy i wybielające pozornie skórę, a następnie lecznicze: chłodzi i pokrywa warstwę skóry.

Pudrowanie się lekkie, w niewielkiej ilości, dobrym pudrem nie jest szkodliwe — natomiast jeżeli w pudrze jest biel ołowiowa, barwiki lub olejki eteryczne, pudru taki może bardzo szkodzić, zwłaszcza przy stałym i nadmiernym używaniu.

Tak samo, jak szminka, pudru zatyka pory, a więc skóra nie może oddychać, co za tem idzie, więdnie i starzeje się. Znanem jest powszechnie, jak szybko artyści wyglądają staro. Zatem używanie pudru, nawet dobrego, trzeba sprządzić do minimum.

Radzę paniom spróbować nowoczesnej pielęgnacji skóry, gdzie chodzi o zachowanie cery i urody na dłuższy okres czasu, a nie tylko o chwilowy i przemijający efekt.

Wszystkie kobiety, począwszy od najbrzydszej do najpiękniejszej, powinny dbać także o swój wygląd zewnętrzny. I nie tylko dla przypodobania się mężczyźnie. Poczucie piękna i estetyki — zadowolenie tego poczucia — to elementarne wymogi kultury!

Kobieta brzydka, gdy dba o siebie, o ileż traci brzydota jej na ostrości; gdy znowu najpiękniejsza, a zaniedbana, traci na efekcie. Poza to, dziś, gdy tak wiele kobiet musi pracować nie tylko na utrzymanie swoje, ale, gdy od pracy tej, zależy byt ich dzieci, muszą dbać o swój wygląd z pobudek praktycznych. We wszelkich zawodach w pracy, akcje starszych kobiet źle stoją!

Prawdziwą sztuką jest pięknie i estetycznie się zestarzeć. Miło jest patrzeć na kobietę, która w późnym okresie życia, od natury już upośledzonym, nie wygląda zaniedbaną, lub przesadnie się młodziącą, a jest odpowiednio do wieku zachowana i zakonserwowana.

A więc, zdecydujemy się poświęcić godzinę rano i wieczorem na codzienne zabiegi higieniczne i kosmetyczne, i ułożymy odpowiedni porządek dnia.

Rano: Kąpiel całkowita, — gdy mamy po temu warunki, — lub całkowite zmycie ciała w miednicy — używając do tego wody z boraksem, na 10 litrów wody łyżka boraksu. Mydło lub spirytus mydlany według wskazówek, zastosowane do rodzaju skóry. Po kąpeli, masaż ogólny, ewentualnie gimnastyka i masaż kosmetyczny twarzy, szyi i biustu 10 minut, odpowiednim kremem, i lekkie zapudrowanie czystą mączką ryżową. Włosy wyszczotkować i dość mocno przeczesać grzebieniem.

Wieczorem: Twarz zmyć stosownie do rodzaju skóry wodą gorącą lub letnią, stosując krem. Całe ciało zmyć po raz drugi, następnie wytrzeć suchą rękawiczką, uszytą z grubego płótna, do czerwoności. Jeżeli nie można zmywać całego ciała wodą, należy przynajmniej 10 minut wycierać na sucho rękawiczką — tak zw. powietrzną suchą kąpiel — idealny środek, wpływający zarówno na ogólny stan zdrowia, jak i na cerę.

Włosy rozluźnić na parę minut, wyszczotkować i wymasażować — lekko na noc splatając. Kobiety, które rano mają mało czasu, spiesząc do pracy — większość zabiegów muszą przenieść na wieczór.

Jak dalece, wprost fatalnie, wyglądają kobiety starsze, przesadnie

się młodziące zbyt zdecydowanymi farbami, obserwować można we Francji, gdzie wogóle zabiegi kosmetyczne nie wytrzymują krytyki higieniczno-lekarskiej i estetycznej.

Przedstawiając paniom wymogi kosmetyki racjonalnej, chcę dla ciekawości powiedzieć parę słów o nieracjonalnej kosmetyce francuzek i okropnych jej skutkach. Francuzki naogół wbrew opinji, są bardzo pracowite, wiecznie się spieszące, pogodne i wesołe, pomimo nieraz bardzo trudnych warunków życiowych. Są to cechy ogromnie dodatnie, któreby należało naśladować. Ale kosmetyka ich i racjonalne pielęgnowanie ciała pozostawia wiele do życzenia. Natomiast umiejętność zastosowania farb do skóry o wiele więcej rozwinięta, niż u nas.

Rano francuzka zmywa twarz wodą z dodatkiem wody kolońskiej, używając mydła „Cadum bet Hysp.” Po parominutowej przerwie smaruje twarz kremem. Po paru chwilach pudruje białym pudrem, różuje się i wykańcza pudrem pomarańczowym. W dzień poprawia tylko róż, używając pudru pomarańczowego.

Po umyciu robi pauzę 5 minut, smaruje kremem i znowu 5 minut czeka, nim zacznie dalsze zabiegi.

Na noc najczęściej nie myje się wcale, lub tylko przeciera twarz z różu wodą kolońską i smaruje kremem ochronnym.

Najczęściej używane są kosmetyki Guerlain, Dorin, a krem i mydło Coty. W sferach teatralnych cieszą się powodzeniem wyroby firmy Bourgois. Do ust używają ołówków i pomadki, a najczęściej wody różanej o odcieniach barw ściśle i bajecznie dobrze dobranych. Umiejętność tę trzeba podkreślić. Bar-



wy ust bywają jasno czerwone, wiśniowe i sino czerwone.

Szykowna francuzka uważa za sakramentalne używanie wszystkich kosmetyków jednej firmy wybranej. Natomiast perfumy kombinuje sama, mieszając wedle własnego uznania i pomysłowości różne rodzaje zapachów. Jest to ostatnie słowo elegancji, używać tylko perfum o zapachu przez siebie skombinowanym.

Dzięki takiemu ciągłemu stosowaniu barwików i pudru, twarze francuzek bez tych sztucznych środków są w fatalnym stanie. Skóra stale pokryta, nieoddychająca, jest zwiędła, zwietrzała, pomarszczona, o żółtawej karnacji, tak, że bez barwików już się kobieta pokazać nie może.

Gdyby nasze panie zechciały zastanowić się, co je czeka za lat parę, przy stałym stosowaniu nieracjonalnej kosmetyki... napewno przyszłyby do wniosku, że tylko umiejętne, racjonalne i systematycznie stosowane środki kosmetyczne dają nam cudowne rezultaty. Ale wszystkie środki kosmetyczne muszą być stosowane przy odpowiednich wskazówkach lekarza.

Niema skóry idealnie dobrej — nawet z najlepszą i najładniejszą skórą, trzeba od czasu do czasu pokazać się specjaliście, bądź to, by coś niecoś poprawić, bądź to utrzymać na pewnym poziomie.

Reasumując wszystko, co wyżej udowodniłam, chcąc mieć piękną cerę, należy dbać o swe zdrowie, nie zaniedbywać czystości, starać się stworzyć sobie warunki i tryb życia odpowiedni, a w końcu stosować stale i pilnie odpowiednie racjonalne zabiegi kosmetyczne.

*Dr. med. J. Świtalska.*

## RÓŻNE SPOSODY PRANIA

*(ciąg dalszy)*

Na wsi pranie nie jest tak ambirasowne i męczące jak w mieście. Przedewszystkiem jest dużo miejsca, tak do prania jak suszenia bielizny, którą w dnie ciepłe, pogodne najlepiej rozwieszać na powietrzu, na rozciągniętych między drzewami sznurach, przypinając do nich sztuki za pomocą drewnianych klamer. Gorzej przedstawia się ta robota w mieście, zwłaszcza w starych domach, gdzie pralnia, kuchnia a często i mieszkanie sługi mieszczą się w jednej ciasnej ubikacji, a dostanie klucza od góry nieraz po to, aby więcej nie zobaczyć rozwieszonych na niej bielizny, równa się niemal bohaterstwu. W

ostatnio budowanych, w przedwojennych czasach domach — myślano już o tem, aby była oddzielna pralnia, z której, w pewnych z góry określonych terminach, lokatorowie po kolei korzystać by mogli.

W Wielkopolsce zwłaszcza spotykamy się często z takimi pralniami, budowanymi na najwyższych piętrach ze względu na parę i wzięwy, wydzielające się przy praniu, jak i na bliskość góry, na której wieszają się bieliznę.

Sposobem ogólnie u nas stosowanym — staropolskim, że tak go nazwę — pierze się następująco: bieliznę pocerowaną i przesegregowaną namoczyć w przeddzień w miękkiej zaledwie letniej wodzie (gorąca brud zaparzy tak, że nie wypierze się) z dolaniem jednej łyżki terpentyny i 2 łyżek salmiaku — albo trochę proszku „Persil“ — układać w balji namydłone zwinięte w trąbki sztuki — najgrubsze i najbrudniejsze na spód — najcieńsze i najczystsze na wierzch — aby od nich nazajutrz rozpocząć robotę. Ścierki i inne bardzo brudne lub zatarte kawałki moczy się oddzielnie. Wełniane rzeczy, kolory i pończochy pierze się od ręki w letnim, rozgotowanym mydle bez sody, ani żadnych proszków, bo te zawsze szkodliwie działają na barwę. Pióracy trzeba często zmieniać wodę — aby rozpuszczony brud nie przechodził z jednej sztuki na drugą. Zamiast wycierać bieliznę o dno balji, co jak już mówiłam najbardziej ją niszczy, jeżeli praczka nie chce lub nie umie prać w rękach, można użyć karbowanych płytek blaszanych lub lepiej porcelanowych, bo nie rdzewieją, i oparłszy je ukośnie o balję, pocierać o nie nie bardzo przyciskając, namydłone kawałki.

Zasadniczy brud puści — plamy jednak koniecznie trzeba doprać w rękach. Tu zwrócić należy uwagę na rodzaj plam, które tak rdzawe, jak atramentowe, z wina lub owoców trzeba wyprowadzić z bielizny przed gotowaniem — jednym ze sposobów, które kilka razy podawałam w „Bluszczu“. Wyprane sztuki wykręca się z wody, przepuszczając przez ogólnie już dziś rozpowszechnioną wyciśmaczkę — uważając jedynie, aby kłaść równo złożone między wałki, guziczkami do środka. Bieliznę wyżętą układa się na stole nakrytym czystym maglownikiem i w tym samym co poprzednio porządku pierze się powtórnie z mydłem. Dawniej kiedy czas był tańszy — prało się 3 razy przed gotowaniem — dwukrotne staranne wytarcie ze specjalną uwaga na plamy, wystarcza jednak. Po takim wypraniu przystępujemy

do gotowania w kotle o podwójnie dziurkowanym dnie, dla uchronienia bielizny od przypalenia. O ile ktoś nie posiada takiego kotła można podłożyć półmisek lub talerz głęboki do góry dnem obrócony. Przed włożeniem bielizny w kocioł trzeba nalać w niego do połowy zimnej miękkiej wody z sodą lub boraksem i mydłem, uważając aby woda była zimna, bo gotująca, o ile bielizna niezupełnie doprana — zaparzy brud i plamy.

Bieliznę gotować trzeba wolno przewracając drewnianą łopatką od 20 do 30 minut — wygotowaną wyrzucać na balję, gotować następną, nie kładąc dużo sztuk na raz do kotła — a skoro wszystka gotowa — przestudzoną wypierać raz jeszcze w tej samej wodzie, w której się gotowała — wypłókać — i włożyć na kilka godzin, a lepiej jeszcze na całą noc w zimną wodę. W mydlinach z drugiego prania i gotowania wypiera się ścierki, które również trzeba wygotować.

Na samym końcu pierze się kolory — rzeczy wełniane, pończochy i t. p. O ile kolory i materiały delikatne trzeba je prać osobno, specjalnymi środkami — zwyczajnie prać można tak jak wyżej mówiono. Taki sposób prania, jest najzwyczajniejszy, elementarny niejako, ale ogólnie stosowany.

Dobre jego rezultaty zależą od dokładności roboty — będącej zwykle w rękach niechętnych i nieumiejętnych, to też przodujący w praktycznych pomysłach zagraniczni sąsiedzi nasi — od dawna wprowadzili pranie maszynami za pomocą pary. Znakomita oszczędność czasu, ułatwienie w pracy, ochrona bielizny od podarcia czyni taką maszynę opłacającą się w każdym średnio zamożnym a liczonym domu.

Pranie maszyną parową. Przygotowywa się bieliznę do prania w maszynie, tak jak do ręcznego — w przeddzień namoczoną wycisnąć z pierwszego brudu, roztrzepać, namydlić i włożyć do kociołka maszyny napełnionego do połowy zimną miękką wodą z dolaniem łyżki salmiaku i łyżki fr. terpentyny, uważając aby nie kłaść więcej jak 15 do 20 sztuk na raz. Podpaliwszy pod kociołkiem, gdy woda zagotuje się, obraca się wolno korbą w lewo i w prawo przez pół godziny — wygotowaną bieliznę wyjmuje się na balję i tak samo postępuje z pozostałą, dopóki wszystka nie będzie wyprana. Wtedy wyciska się ją z brudnej wody, płucze w letniej, a następnie w zimnej. O ile bielizna była bardzo brudna, trzeba gotować ją drugi raz, ale wystarczy już tylko kwadrans. Tak uprana bielizna jest



o wiele czyściejszą, bo ciągle przewracanie jej korbą i para działają dołatnio na wyciągnięcie brudu.

Pranie maszyną elektryczną.

W ostatnich czasach pojawiły się elektryczne maszyny do prania, które nie tylko piorą, ale i wykręcają same bieliznę. Można zastąpić je wszędzie, gdzie jest urządzenie do światła elektrycznego — wprawia się je w ruch łącząc sznur z kontaktem. Maszyna ta bynajmniej nie skomplikowana — składa się z motoru — basenu do prania i wyciśmaczki. Obracający się cylinder w basenie wypiera bieliznę, którą wyciśmaczka o trzech gumowych walcach wykręca zaraz z wody. Ta maszyna obchodzi się całkowicie bez rąk ludzkich, potrzebuje małej obsługi, pracę więc może każdy bez zmęczenia — bielizna wychodzi z niej zupełnie czysta — a co najważniejsza — niezależnie nas całkowicie. Jest to bezwzględnie najidealniejszy sposób prania — niestety tylko w zamożnych domach, bo cena maszyny i zużytego prądu nie dla każdego czyni ją dostępną. Mieemy nadzieję, że wynalazek ten z czasem da się przystosować do środków ogółu, a tem samem spopularyzuje się i stanie prawdziwym, bo ogólnem dobrodziejstwem. T. S.

## Przechowywanie jarzyn w piwnicy

Wyjątkowo ładna i ciepła jesień tegoroczna dała dobrze wyrosnąć i dojrzeć, spóźnionym wskutek zimnego i dżdżystego lata jarzynom i włoszczyźnie. Pierwsze mrozy przypominają nam o konieczności porobienia zapasów ich na zimę, o zaopatrzeniu w nie piwnicy. Jarzyny starać się należy nabyć z pierwszych rąk, nie kupować ich u przekupni, zyskamy i na niskiej ich cenie i na jakości, będą mniej pobite i przez to trwalsze. Chcąc zimę całą przechować jarzyny w dobrym stanie, winniśmy należycie przygotować na nie piwnicę. Przedewszystkiem więc usuwać wszelkie resztki zeszłorocznych jarzyn, które, jako zepsute, mogłyby zgnilizną zarazić świeże zapasy. Piasek zeszłoroczny należy usunąć i zastąpić go świeżym, suchym, lub jeśli to niemożliwe przesiać go przez rzadkie sito, aby usunąć korzenie i resztki dawnych jarzyn, i przesuszyć na blachach w piecu lub nawet pod blachą. Ten duży zachód, opłaci się nam zawsze dobrym rezultatem przechowania. Piwnicę należy przez dni kilka wietrzyć, pościierać z sufitu i ścian wszelkie ślady zgnilizny, pleśni i wilgoci. Jeśli piw-

nica ma szczelne okna i drzwi, można pozabijać wszelkie grzyby i pleśnie, zapalając, przy szczelnem zamknięciu wszelkich otworów, siarkę i trzymając piwnicę zamkniętą przez dwie doby. W przeważnej jednak większości piwnic byłoby, to próżnym zachodem, siarkowałibysmy tylko powietrze na dworze, gdyż cały dym by się przez szczeliny wymykał.

Najlepiej jest, jeśli w piwnicy są tylko kartofle i warzywa, węgiel zaś i wszystkie beczki z kapustą, burakami, ogórkami stoją gdzieś w innym, równie niedostępnym dla mrozu składowie. Na wsi są zwykle specjalne, zlekkie w czasie największych mrozów opalane, warzywnie. W mieście musimy dla braku miejsca wszystko razem przechowywać. Należy więc przynajmniej beczki z kwaszonymi produktami stawiać możliwie daleko od świeżych jarzyn. Najlepiej w środku piwnicy usypać długi i wysoki wał z węgla. Jedną stronę piwnicy zastawić beczkami, drzewo może znaleźć miejsce po tej samej stronie, tembardziej, że chcąc uchronić beczki od gnicia przy zetknięciu z wilgotną ziemią w piwnicy, najlepiej jest ustawić je na ułożonych w kilka warstw polanach. Z drugiej strony wału kąt najdalej od okna położony przeznaczamy na kartofle, światła one nie potrzebują, natomiast najłatwiej podlegają przemaznięciu. Najbliżej okna robi się grządki z piasku i sadyw nie wszelkie zimowe sałaty: eskarolkę, endywię i rzymską. Rosną tak doskonale, — w miarę potrzeby wiązuje się rzaczkę tyczkiem dla wybielenia ich wewnątrz i odebrania goryczy. Między sałatami powinny też znaleźć miejsce liściaste selery, używane w zimie na sałatę, — bieli się je tak samo jak inne sałaty. Obok sałat sadyw wszelkiego rodzaju kapusty, najlepiej je wprost z krzemiami przynieść z gruntu, obłamać im duże zewnętrzne liście i sadyw gęsto głowa obok głowy, aby jaknajmniej miejsca zajmowały. Tak się więc sadyw kapustę włoską, zwykłą białą, czerwoną, brukselkę, nawet jarmuż. Na wsi można te dwa ostatnie gatunki, to jest brukselkę i jarmuż pozostawić na grzędach, gdyż mróz niezbyt duży im nie szkodzi. W czasie największych chłódów i zawięzi, można zagonki z nimi osłonić gałęziami choiny lub starymi matami inspektowymi. W każdym razie należy rośliny przesadzić tak, aby stały gęsto i możliwie mało miejsca zajmowały. Kalafjory należy sadyw w piasek tylko te, co mają jeszcze małe, niezbyt rozwinięte różę kwiatowe, siedząc w piasku będą dalej rosły i rozwijały się. Kalafjory zupełnie wyrosnięte lepiej

jest wieszac na sznurkach u pułapu piwnicy, — często przeglądać i brać zaraz do użytku te, które plam dostawać zaczynają. Jak do sadzenia, tak i do wieszania brać tylko zupełnie nie uszkodzone przez mrozy kalafjory, przemaznięte zgniją w ciągu dni paru.

U nas mało używaną jarzyną są kardy, wybie one zeberka liściowe tych roślin stanowią wykwinne danie.

Ko hoduje kardy może część najpiękniejszych krzaków związać mocno sznurami, aby możliwie mało miejsca zajmowały, i zakopać je w piwnicy, większość jednak krzaków można pozostawić na gruncie, wiążąc je kolejno dla bielenia liści, i chroniąc matami lub choiną przed najcięższymi mrozami. Pietruszkę i selery układa się w małe kopczyki, przesypując je piaskiem, w taki sposób aby ich wierzchołki były odkryte, wypuszczając zieloną natkę, pożyteczną w kuchni i do ubierania półmisków, zakopane całkowicie w piasek łatwo gniją. Marchew, brukiew i buraki układa się w większe kopce w środku piwnicy, przesypując piaskiem ich niema potrzeby, należy tylko co parę tygodni przebierać, aby sparciałe lub zaczynające gnić usunąć w porę. Pory, służące zimą za przyprawę do zup, rosółów i t. p. wiosną stanowią wyborną jarzynę, równie delikatną jak szparagi. Na wsi najlepiej w tym celu parę grząd porów najdodniejszych pozostawić w gruncie, gdzie znoszą doskonale nawet ostrą zimę. W mieście należy je gęsto posadzić w grzędy piasku i biorąc do użytku, uważać aby najpiękniejsze i nadorodniejsze egzemplarze przechować do wiosny. Duże, ładnie zaakłone selery, stanowią też wykwinną jarzynę i sałatę, należy to mieć na uwadze, robiąc ich zapas na zimę. Oprócz wszystkich tych jarzyn i włoszczyzny, kto może, powinien zrobić dla zapasu bulwy włoskiej, skorzonery i owsianego korzenia — te dwie ostatnie jarzyny są znane na targach jako „szparagi zimowe”. Smaczne te jarzyny bardzo łatwo się konserwują w kopcach jak marchew.

Nie należy zapominać o zapasie chrzanu, który zatknięty na ukos w piasek, konserwuje się doskonale nie tracąc smaku i nie więdnąc wcale. Częste przeglądanie jarzyn, przebieranie ich — a głównie łatwo gnijących kartofli, zwykle decyduje o dobrem ich przechowaniu w piwnicy.

Oddzielnie od wszystkich jarzyn przechowujemy cebulę, ta nie znosi wilgoci, w piwnicy by więc zaraz rosła zaczęła. Cebulę jaknajstaranniej przesuszoną splatamy w długie warkocze, pomagając sobie przytem długą słomą lub rafją. Takie

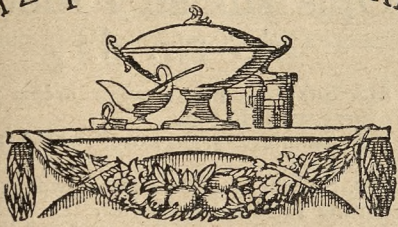


wianki wiesz się w chłodnej nieprzemarzającej suchej szpiżarni. Jest to najpraktyczniejszy sposób przechowywania cebuli. Odrazu możemy widzieć każdą sztukę i więdnącą, gnijącą lub s hnacą usuwać.

Jeżeli cebula niema długich końców suchej naci do wiązania w workach, można ją po doskonałym wysuszeniu wsypać w sieć i z tą siecią powiesić gdzieś bliżej sufitu w jakiej suchej izbie lub korytarzu. Suchość decyduje o dobrym przechowaniu cebuli. W braku sieci można użyć rzadkich, czystych worków. Zdaje mi się, że zapomniałam o szpinaku, który zresztą zimuje na gruncie, o rzepie, która się przechowuje jak brukiew i o rzodkwi zimowej, której kopczyk powinien znaleźć miejsce w każdej piwnicy. Rzodkiew nie podlega gniciu natomiast łatwo parcieje.

Pani Elżbieta.

## Przepisy gospodarskie



### JARZYNY NA PARZE

Udusić kilka gatunków jarzyn, każdy oddzielnie, w pierw je blanżerując, to jest obgotowując w osolonej w wodzie. Można do tego brać marchewkę, groszek łuskany lub młody w strączkach, zieloną i szparagową fasolę, szparagi, galarepkę, młodą rzepkę, brukiew, brukselkę, kalafjory, białą i włoską kapustę, bulwę włoską, jednym słowem wszelkie jarzyny za wyjątkiem buraków i kartofli.

Dusić w małej ilości wody, zaprawiając przy końcu duszenia każdą jarzynę masłem. Używać oczywiście te jarzyny, które się w danej porze znajdują. Formę do budynia lub rondel ze szczelnie przysującą pokrywę wysmarować masłem, wysypać bu-

łeczką i układać weń rzędami jarzyny, aż się rondel napełni. Stosownie do rozmiaru rondla, wziąć mleka lub śmietanki słodkiej jedną, dwie, trzy lub więcej szklanek, wsypać na każdą szklanekę łyżkę cukru, łyżkę mąki pszennej i całe jajko, rozbić mocno i zalać tem jarzyny aby dobrze objęło. Rondel zamknąć szczelnie i wstawić w drugi rondel większy, w którym powinno być tyle wrzątku, aby wstawiona forma była do połowy wysokości zanurzona. Gotować około 40 minut. Wydając, wyrzucić na półmisek i polać rumianem masłem z bułeczką. Wyborne, łatwe do przyrządzenia danie.

### KAPUSTA FASZEROWANA PO FRANCUSKU

Małe główki kapusty, najlepiej włoskiej, poprzecinać na pół, zaołować raz we wrzątku, odcedzić i wyciąć ostrym nożem głąb. Usiekać kawałek pieczonej lub gotowanej celęciny, albo gotowanej czy pieczonej kury, dodać do tego kilkanaście szyjek rako wych wołowego szpiku z rury lub w ostateczności dobrego nerkowego łoju usiekanego, dwa jaja ugotowane na twardo i usiekane, bułeczkę wyciętą w mleku, kwaterek śmietany, garstkę zielonego kopru i jedno całe jajko, kto lubi, może dodać trochę muszkatełowego kwiatu, osolić, wyrobić wszystko razem na gładką masę. W każdą połówkę kapusty nakładać łyżkę dobrą tego farszu, zwinąć podłużnie, związać mocno nićmi. Pokrywę posmarować masłem, na to ułożyć kapustę, na wierzch znowu po kawałku masła i wstawić pod blachę. Gdy się nieco zacznie rumienić podlać rosółem lub wodą, przykryć drugą pokrywą lub przewróconą misą i trzymać tak jeszcze z godzinę. Z utłuczonych skorup rakowych zrobić masło rakowe, na tem masle z łyżki mąki i szklanki rosółu wygotowanego z pozostałych kości z kury lub celęciny zrobić sos zaprawić łyżką śmietany i łyżeczką siekanego koperku. Z kapusty pozdejmować nici i przełożyć ją na wygrzany dobrze półmisek, polać sosem, który się uformował na pokrywie, rakowy sos podać oddzielnie w sosjerce. Można też zrobić farsz bez raków, o które w zimie jest trudno, wtedy zamiast sosu rakowego, podaje się sos biały, koperkowy, lub rumiany, zaprawiony sokiem i skórką cytrynową.

### SZTUKA MIĘSA ZAPIEKANA

Ładny, przeraśtały kawał sztuki mięsa, ugotowanej w rosole, pokrajając na zgrabne, niezbyt grube kawałki. Ile było mięsa na wagę ty-

leż kartofli ugotować w łupinach (na kilo mięsa, kilo kartofli). Duży korzeń chrzanu utrzeć na tarce, posypać zlekką cukrem, osolić, skropić mocno octem, dać tak postać z godzinę, aby chrzan stracił zbytnią ostrość. Zasmażyć dwie łyżki mąki w dużej łyżce masła, rozprowadzić tłustym rosółem na sos bardzo zawiesisty, włożyć chrzan, zagotować raz razem, zaprawić półkwatkiem śmietany. Obrąć dwa ogórki kwaszone i pokrajać w plastry. Tak samo pokrajać w cienkie plastry kartofle. Półmisek metalowy posmarować masłem, na nim ułożyć ładnie mięso, przekładając je kartoflami i ogórkami, polać sosem chrzanowym, osypać bułeczką, jeśli jest, nieco tartym, o trzym serem i wstawić na minut dwadzieścia pod blachę, aby się dobrze zrumieniło.

### PIECZEŃ WOŁOWA Z CHRZANEM

Ładny, gruby kawał zrazówki lub krzyżowej zrumienić na maśle lub szmalcu, włożyć w rondel wraz z kilku plasterkami wędzonej słoniny, dodać oczyszczone i pokrajane: dużą marchew, burak ćwikłowy, pietruszkę, dwie cebule, pora, pół selera. Wrzucić kilka ziarn pieprzu i ziela, listek, dwa goździki, zalać pół szklanką octu, dodać parę grzybków suszonych i dusić podlewając rosółem lub wodą aż mięso zmięknie, a jarzyny się zupełnie rozdużą na masę. Utrzeć duży korzeń chrzanu, posypać cukrem, osolić, skropić octem, trzymać tak godzin parę, aby zbytnią ostrość usunąć. Roztopić łyżkę masła, podsmażyć w niej dobrze chrzan, zaprawić łyżką mąki aby masa była gęsta, trzymać w ciepłym. Gdy pieczeń gotowa, pokrajając ją w cienkie plastry, każdy posmarować grubo chrzanową masą, złożyć znowu w całość, ułożyć na półmisek, wyjąć z sosu grzyby, pokrajając w paski, osypać niemi pieczeń, resztę jarzyn przetrzeć przez durszlak i zalać niemi pieczeń, jak sosem. Do tego podaje się kartofle z wody lub ugotowany włoski makaron.

Pani Elżbieta

### KURSY PRZEMYSŁU ARTYSTYCZNEGO

ELEONORY ONICHIMOWSKIEJ  
Krucza 19, m. 6.

Dywany strzyżone, kilimy, haft biały, kolorowy, aplikacje, filet, koronki igłowe, batik, metaloplastyka, malowanie na materiałach, wypalanie, tarso, emalja.

Wydaje się świadectwa.  
Informacje od godz. 5—7.

DR. MED.

### J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka,  
wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkanie 3.

Telefon 102-77



## Korespondencje działu praktycznego

*I. S. Łomża.*

Za mało szczegółów Pani podaje. Z tych paru słów sądzić można, że jest to łojotok, tak na twarzy, jak i na głowie. Niech Pani twarz i skórę na głowie naciera na noc spirytusem salicylowym 1 proc. Poza tem odsyłam Panią do mego artykułu w „Bluszczu” o włosach i artykułu o cerze.

*Zmartwionej czarnogłowie.*

Sama się Pani przekonała o szkodliwości wszelkich reklamowanych środków.

Twarz należy na noc umyć gorącą wodą z mydłem alkalicznym Karpińskiego, o ile mydło skóra Pani znosi — wytrzeć po osuszeniu spirytusem salicylowym 1 proc. Rano twarz umyć bez mydła ciepłą wodą, wetrzeć krem i lekko zapudrować czystą mączką ryżową. Może Pani poprobuje „Mój Krem”. Dr. Świtalskiej. Bardzo wskazanym byłby masaż, sama mogłaby Pani go stosować po nauczaniu się — wystarcza parę lekcji — listownie wskazówki udzielone być nie mogą. Poza tem trzeba zwrócić uwagę na ogólny stan zdrowia, owe uderzenia krwi do głowy mówią, że nie wszystko jest w porządku w organizmie, a określić to może tylko lekarz.

*Hanna Z-owa.*

Farbowanie skutecznia w moim gabinecie moja asystentka, nieszkodliwymi barwikami, po uprzednim badaniu włosa oraz dobraniu odcienia przezemnie. Poza tem asystentka zarazem uczy pacjentki, jak farbować nadal samej. Koszt razem wynosi 50 zł.

*Z. K. ze Lwowa.*

Dolegliwość matki Pani musi zbadać specjalista, wtedy napewno coś się da powiedzieć. Z tego co Pani pisze sądzić można, że będzie wskazana w tym wypadku elektroliza co może zdecydować tylko lekarz po uprzednim zbadaniu.

*Zmartwionej Pani J. P.*

Cera Pani jest bardzo wrażliwa i widocznie nie znosi mydła. Należy spróbować postępować tak: najpierw trochę kremu wetrzeć, umyć mydłem, a następnie znów odrobinną kremu zastosować. Gdyby się okazało, że cera Pani wogóle mydła nie znosi, to używać tylko wody ciepłej z boraksem i krem.

*Felicja W.*

Złuszczenie skóry wymaga 10 dni, z tem by codzień przychodzić. Cena 10-ciu wizyt. W szpitalu Ujazdowskim udzielam porad lekarskich bezpłatnie, a nie kosmetyki.

*Blanka.*

Na udelikatnienie skóry rąk niech Pani używa kremu „Izolda”.

Co do owych blizn, czy plam po wrzodach, to zastosować trzeba b. głębokie złuszczenie, które może uskutecznić tylko lekarz specjalista, chociaż nie można przesądzić czy plamy po złuszczeniu znikną.

*Stała prenumeratorka.*

Dolegliwość Pani jest natury wewnętrznej, trzeba się zwrócić do lekarza.

*Z. G. prenumeratorka Bluszczu „500”.*

Włosy musi zbadać lekarz oświadczyć — wyczeski nie mają znaczenia, bo trzeba włos do analizy wyrwać z korzeniem. Powodem dolegliwości Pani może być to, że organizm wycieńczony długą chorobą. — Przy ogólnem wzmocnieniu się całego organizmu i stan włosów się polepszy. Stosowanie miejscowego leczenia, które na razie przeprowadzi Pani tak: skórę nacierać na noc lekarstwem, (przepis podaję) 2 tygodnie, następnie 2 tygodnie spażować i znów 2 tygodnie nacierać. Po tej kuracji trzeba się pokazać lekarzowi specjalistcie, jeśli nie ma polepszenia.

Recepta dla włosów tłustych:

Rp: Sulfidol  
Resorcini on 10,0  
Spir. comp. 20,0  
Spir. vini 100,0

dla suchych:

Tra Joborandi  
„ Rosmarni  
„ Chinae comp. 10,0  
Ol. ricini . . 20,0

*Z. Rybkowa.*

Niech się Pani zwróci o poradę do lekarki, która prowadzi w Bluszczu dział chorób dzieciennych.

*Pani Emilji D.*

Zupełnie się z Panią zgadzam, że zdrowe i białe zęby, są wielką ozdobą kobiecej urody. Najpiękniejsza twarz fatalnie traci w uśmiechu.

Białość zębów zależy od wielu czynników — przedewszystkiem od pielęgnacji jamy ustnej.

Pierwsza zasada: czyszczenie jamy ustnej należy uskutecznić 2 razy dziennie, rano i wieczorem. Do zębów należy używać szczoteczki nie zbyt twardej, najlepsza jest

„Ideal” Zieleniewski — kształt włosów odpowiedni do ułożenia zębów.

Wynalazek naszego rodaka dentysty, opatentowany niestety i wyrabiany przez cudzoziemskie firmy francuskie i niemieckie. Do zębów używać należy proszku lub pasty (Karpińskiego b. dobra krajowa), zaś do wody należy dolać parę kropli eliksiru (Karpiński). Najbardziej szkodzą na zęby tytoń i zbyt gorące pokarmy.

Przy stałej pielęgnacji słabych zębów, można uzyskać poprawę co do wytrzymałości zęba i barwy.

Należy przy zupełnie zdrowych zębach być 2 razy do roku u dentysty, ażeby specjalista skonstatował, czy naprawdę nie ma potrzeby naprawienia częstokroć nie widocznego dla laika uszczerbku.

Szczoteczki „Ideal” dostać można Krucza 34 skład apteczny Brudnickiego.

*Dr. J. Świtalska*

## Opis sukien i robót do Nr. 43

818. Suknia z brązowego crêpe marocain przybrana haftem.

819. Suknia z granatowej wełny naszywana taśmą.

820. Suknia na ulicę z piaskowego sukna przybrana futrem i guzikami.

821. Paltocik dla dziewczynki od lat 4 do 7 z welwetu brązowego przybrany futrem.

822. Suknia z ciemnej wełny przybrana futrem i haftem.

823. Suknia z crêpe marocain i aksamitu. Falbana drobno plisowana.

824. Suknia z różowego crêpe de chine'u, tunika z georgette'y, przytwierdzona deseniową wstążką.

825. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 12 z wełny przerabianej w drobną kratkę, przybrana aksamitem, lub sukniem.

826. Suknia z sukna w dwóch kolorach, przybrana haftem.

827. Sukienka dla dziewczynki od lat 8 do 14 z wełny granatowej. Kołnierzyk biały, pasek i krawat ponsowe.

828. Kapelusz z brązowego filcu, przybrany jaśniejszą materją.

829. Kapelusz z grubej rypsowej wstążki.

830. Kapelusz z czarnego aksamitu, przybrany krosami.

831. Kapelusz z ciemno fioletowego aksamitu przybrany fantazją z piór strusich.

832. Kapelusz filcowy, otoczony szeroką wstążką.

833. Bluzka z wełny w prążki, przybrana aksamitem.

834. Spódnica z wełny w kratę przybrana guzikami.

835. Bluzka z rezedowego crêpe de chine'u przybrana haftem.

836 837. 838. 839. 840. Narożniki chusteczek, haft angielski i ałaskiem.

841. Wzór na serwetkę — haft kolorowy

## Sprostowanie

W Nr. 40 pod artykułem „Sprzęt dzieła sztuki” przez omyłkę nie został umieszczony podpis p. Emilji Szenwicowej.